

Nr. 120

P I E Ś Ń
OSTATNIEGO MINSTRELA.

1851

ESTABLISHED 1851

WŁÓCHACZENIA
ANTONIEGO EDWARDA
ODYŃCA.

TOM CZWARTY.

Pieśń
Ostatniego Mistrza.

WILNO.
drukem Józefa Zawadzkiego.
1842.

A. 28279/4

AMERICAN

AMERICAN

ADTGO

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1842 r. 10 Października.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.



1000174147

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Dot 13 e, 13a

K. 834/59/42

PRZEWÓDNIKI
JÓZEFOWI I JÓZEFINIE

H R A B I O M

LUBIEŃSKIM

Z UCZUCIA I NA PAMIĄTKĘ PRZYJAŹNI,

POŚWIĘCAM

N. E. O.

JOSEFOVI I JOZEFINE

И П И А И И

И П И А И И

И П И А И И



100074147

И П И А И И

824/54/21

1842

PRZEMOWA AUTORA.

GŁÓWNYM celem niniejszego poematu, jest malowanie zwyczajów i obyczajów, panujących niegdyś na pograniczu między Anglią i Szkocją. Dzieje mieszkańców tych okolic, prowadzących życie w pół pasterskie, i w pół wojenne, i obok ustawicznych niezgód, napaści i wzajemnych łupieży, szanujących i zachowujących święcie ustawy i obrzędy rycerstwa, przedstawiają mnóstwo wypadków, godnych być przedmiotem poezji. Przecież zamiarem Autora jest raczej opisanie miejsc i obyczajów, niż ciąg i układ opowiadanej powieści; uznał przeto za stosowne do swojego celu, przybrać dla swego dzieła formę dawnych poetycznych Romanów, jako pozwalającą większej w tym względzie swobody, niżby to z godnością epiczne-

go poematu pogodzić się dało. Forma ta ma jeszcze i tę zaletę, iż nie przeciwi się bynajmniej różnym przemianom miar wiersza, z czego Autor często korzystał *). Wprowadzona też dziwność, oparta na podaniach gminnych, mogłaby zdawać się dziecinną w poemacie, nie mającym cech dawniej Ballady lub poetycznego Romansu.

Z tych to względów, Autor kładzie swą powieść w usta dawnego Minstrela, ostatniego z tej klasy ludzi, który przeżywszy, jak się przypuszcza, rewolucyą, która obaliła tron Sztuartów, mógł już korzystać cokolwiek z wydoskonalenia poezyi nowożytniej, nie tracąc całkiem prostoty pierwiastkowych swych wzorów. Sama rzecz powieści, dzieje się około połowy XVI wieku, gdy wszystkie prawie działające osoby rzeczywiście kwitnęły. Akcja zajmuje trzy dni i trzy noce.

*) Właściwość tę tłómacz starał się też zachować w przekładzie. (Przyp. Tłómacza.)

**PIEŚŃ
OSTATNIEGO MINSTRELA**

Poema

WALTERA SKOTTA

W SZESCIU PIEŚNIACH.

W S T Ę P.

WIATR był półnoeny, droga daleka,
Minstrel był stary, słaby kaleka;
Poważne lice, włos jego biały,
Widać, że lepsze dni kiedyś znały;
Arfę, jedyną jego osłodę,
Dźwigało za nim pacholę młode.
Był to ostatni z Szkockich Minstreli,
Co ze czią niegdyś w kraju słynęli,
I głosząc dzieła przodków ich sławnych,
Uczyli młodych, iść w ślady dawnych.
Lecz się niestety! wszystko zmieniło:
Współbraacia jego śpią pod mogiłą;
On, biedny tulacz w ojczystej ziemi,
Chciałby już tylko odpocząć z niemi.

Bo cóż po życiu, gdy wszystkie jego
Młode uroki serce odbiegą?

Nie jemu teraz, na rączym koniu,
Jak ptak swobodnie hasać po błoni;

Nie jemu teraz, ach! już nie jemu,
Pożądanemu, szanowanemu,

W zamkach, na ucztach, śród koła gości,
Śpiewać cześć męztwa, urok miłości,

I w sercach mężów budząc wzruszenie,
Z oczu piękności czerpać natchnienie!

W Szkocyi teraz wszystko inaczej:

Ani tych biesiad, ni tych słuchaczy.

Z starymi ludźmi, zniknęły wszędy,

Stare zwyczaje, stare obrzędy;

Przychodzić z ciężkiem berłem w prawicy,

Na Stuartowej zasiadł stolicy;

Mroczny fanatyzm, grożąc pochodnią,

Pieśń i wesolość mieni bydź zbrodnią.

Wzgardzony śpiewak, plonąc od sromu,

Musi iść żebrać, z domu do domu,

I dla motłochu arfę swą stroić,

Którójby dźwiękiem Król się mógł poić.

Szedł, gdzie z śród cienia dębu i świerku,
 Wznoszą się błyszcząc wieże Newerku.
 Bard zwrócił ku nim posępne oko,
 Wspomniał swą przeszłość, westchnął głęboko;
 Spójrzal dokoła,—lecz nigdzie innęj
 Nie było niższej strzechy gościnnęj.
 Drżącym więc krokiem przez most zwodowy,
 Szedł ku podwojom bramy zamkowęj,
 Któręj żelazne rygle i brony,
 Odbiły nieraz szturm rozpędzony,
 Lecz w któręj zawsze stojąc na straży,
 Duch gościnnosci witał nędzarzy.

Xiężna przez okno starca ujrzała *):

Włos jego biały, postać nieśmiała,
 Wzbudziły litość;—rzekła paziowi,
 By go z czią spotkać wyszli domowi.
 Bo choć tak można, z krwią Królów blizka,
 Znała i ona losu igrzyska,
 Gdy kochająca, w lat swych zaraniu,
 Z dziką rozpaczą, przy rusztowaniu

*) Anna, córka Franciszka Skotta, Lorda Buccleuch, a wdowa po Xięciu Jakóbie Monmouth, ściętym w r. 1685.

Lubego męża, próżno na wroga
Wzywała pomsty ludzi i Boga.

Gdy zmordowane wędrowca siły,
Skromnym posiłkiem nieco ożyły,
A widok chętniej, dworskiej względności,
Wzbudził w nim pamięć lepszej przeszłości:
Z dawno doznaném czuciem wesela,
Zapłonął w duszy ogień minstrela.
Zaczął więc prawić o przodkach Xiężnej,
Co był za rycerz dziad jej potężny^{*)},
Jak gromił wrogów, jak w kraju słynął,
Jak, świeć mu Panie, ojciec jej zginął.
Dodał, że jeszcze z dawniejszych dziejów,
Wie różne czyny wielkich Bułajów;
I gdyby Xiężna, przez wzgląd na treści,
Chciała posłuchać starca powieści,
Choć dłoń mu skrzepla, choć głos oniemiał,
On — i dla czegoż wyznaćby nie miał?—
On ezuje w sobie dość jeszcze ducha,
By śpiew zanócić godny jej ucha.

*) Walter Skott, Lord Buccleuch, sławny wojownik.

Chętnie spełniono skromne żądania,
Paź go do Xiężnej zawiódł mieszkania.
Lecz skoro wstąpił w gmach jęj wspaniały,
Gdzie z nią jęj dworskie damy siedziały,
Możeby raczję wolał odmowę;
Tak uczuł w sobie wzruszenie nowe,
Tak mu się nagle w myślach zmaćilo,
Wszystko co teraz, co dawniej było;
Ze gdy sam w sobie upokorzony,
Chciał dobyć z arfy dawne jęj tony,
Uczuł, że palce moc swą straciły,
Którą nadaje wiara w swe sily.

Xiężna odgadła co się w nim działo,
A więc nie rażąc zbytnią pochwałą,
W słowach jednakże miłych dla ucha,
Dodala serca, zagrzała ducha,
Aż stróny, które tręcał powoli,
Zabrzmiały wszystkie w ton jego woli.
Wtedy rad z siebie ozwał się śmielęj,
Ze pomni powieść dawnych Minstreli,
Któręj już w życiu swém poniżoném,
Nie miał nadziei śpiewać przed zgonem.

Bo nie dla gminu pieśń ta złożona,
Lecz dla Dam wielkich, dla Panów grona;
Sam ją przed Królem śpiewał za młodu,
Na jednej z świętych uzt Holyrodu;
Pieśń tę powtórzyć chciałby w tej dobie,
Nótę jej tylko przypomni sobie.

I zwolna ręką wodząc po strónach,
Coraz to w innych przebiera tonach;
I w czole widać walkę z pamięcią,
Którém raz po raz wstrząsał z niechęcią.
Aż gdy raz zbudził znajome brzmienia,
Twarz zajaśniała blaskiem natchnienia,
Duch w oku starca zaiskrzył młody,
Dziwny rumieniec oblał jagody,
I harmonijny, choć w miarach zmienny,
Rozległ się odgłos pieśni wojennej.
Miejsce, słuchacze, doła żebraka,
Wszystko zniknęło z myśli śpiewaka;
Zimna nieufność w sercu zbolełém,
Nagle przed wieszczym pierzchła zapalem;
I tak, gdy wszyscy w krąg oniemieli,
Nócił ostatni z Szkockich Minstreli.

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

I.

UMILKŁE W Branksom gwar biesiady '),
Do tajemnych komnat gmaehu
Samotna odeszła Lady;
Do komnat, których drzwi potężne czary
Tajemniczemi zamknęły słowami:
Niktby ich wspomnieć bez strachu,
Powtórzyć nie śmiał bez kary;—
JEZUS MARYA, zmiłuj się nad nami!
Nikt oprócz Lady, i za skarby ziemne,
Nie śmiałby wstąpić w te progi tajemne.

II.

W biesiadnej sali gwarliwa drużyna
W krąg się wielkiego skupiła komina;
Albo pod ręce wzdłuż chodząc pospół,
Ciagną rozmowy zaczęte u stołu.
Na potrząśnionych gałęźmi kamieniach,
Śpią psy myśliwe, i w sennych marzeniach,
Zdają się ścigać jelenie śród boru,
Z Tewiot-stonu do puszez Eskdal-moru.

III.

Dwudziestu dziewięciu szlachetnych rycerzy,
Wciąż w zamku Branksomskim gościło;
Dwudziestu dziewięciu w bogatej odzieży,
Na rozkaz ich paziów służyło;
Dwudziestu dziewięciu koniuszów młodzieży
Rumaki ich w stajniach karmiło;
A wszyscy waleczni, ojezyny nadzieja,
A wszyscy są krewni Hrabiego Bukleja.

IV.

Dziesięciu z nich w kolej, na pierwszy znak
Gotowych co chwila do boju lub drogi,
Z orężem u pasa, z ostrogą u nogi,
W dzień i w nocy nie zrzuca zbroicy;
Na swych twardych puklerzach,
W nierozpiętych pancerzach,
Chwilę ledwo snu dadzą zrenicy;
W rękawicach ze stali
Za stół nawet siadali,
Wino pili przez kratę przyłbicy.

V.

Dziesięciu giermków wprawionych do broni,
Trzyma przed gankiem kopije rycerzy;
Trzydzieści zbrojno osiodłanych koni,
Dziesięciu w rękach wodzi masztalerzy;
Každy koń z kitą piór strusich u skroni,
Za każdym siodłem buzdygan się jeży;

Sto innych w stajniach zostaje się w domu :—
Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu.

VI.

Dla czegoż te konie pod siodłem tak stoją?
Dla czego rycerze czuwają pod zbroją?—
Czuwają, by w porę brytanów oczekiwanie,
By w porę posłyszeć strażników wołanie;
By zdala nad chmurą kurzawy wzniesiony,
Świętego Jerzego krzyż dójrzeć czerwony *);
By w porę pośpieszyć i bronić swych włości,
Przed Skropem, lub Percym, wstawionym z zrad
tylu,
I nie dać się ubiedz Howarda napaści,
Z Warkwortu, z Nawortu, z pięknego
Karlilu.

VII.

Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu.—
Mężni rycerze bronią go i strzegą:

*) Godło na sztandarze Anglików.

Lecz on, pan zamku, wódz Buklejów domu!
Miecz jego straszny jak łyskanie gromu,

Rdzewieje nad grobem jego.

Rok ledwo upłynął

Jak Lord Walter zginął ²⁾,

Gdy nie syt krwi bratniej i mordu,

Niezgodę na nowo,

Straszliwą, domową,

Rozniecił Karr, Baron z Cessfordu.

Gdy lud z nad granicy

Pierzebał ku stolicy,

Gdy Edyburg nawet krwią spłynął;

Tam w dymach pożogi,

Lord Walter bez trwogi,

Broniąc swoich walczył i zginął.

VIII.

Ach! czyż pobożność serca pysznego,

Gniew i nienawiść ukoj?

Czyż miłość kraju, miłość bliźniego,

Domową wojnę rozbroi?

Nie!— próżno razem w pielgrzymim stroju,
 Do miejsc cudownych szli wszędy³);
 Próżno za dusze poległych w boju,
 Wspólne sprawiali obrzędy.
 Póki w Cessfordzie władą dom Karrów,
 Buklej w Etryku przewodzi:
 Póty zawziętość odwiecznych swarów,
 Z pamięcią rzezi, klęsk i pożarów,
 Z ojca na syna przechodzi.

IX.

Lud wojowniczy zalamywał ręce,
 Nad trumną Lorda Waltera;
 Niewiasty w łzami uroszone wieńce
 Stroiły grób bohatera;
 Lecz lzy ni kwiatu pozostała wdowa
 Nie uroniła na grobie;
 Nadzieja pomsty i duma surowa,
 Dodaly męstwa w żalobie.
 Aż gdy patrząc na twarze żalodne,
 Syn mały w domu zawołał:

„Pomszczę się ojca, niech tylko podrosnę!”

Żal dłużej kryć się nie zdołał,
Lkając go swemi okryła pieszczoty,
I lzy jój wdowie zlały twarz sieroty.

X.

W stroju z rozpaczy starganym,
Na wiatr rzuciwszy włos,
Nad ojcem swym ukochanym,
Anna płakala w głos.
Lecz prócz żalosci dziecinnój,
Był jeszcze powód lez inny:
Bojaźń o przyszły los.
Serce jój gore miłością;—
Przed nimby tylko z ufnością
Odkryła głąb tajemnicy;
Lecz twardej macezynnej duszy,
Wię, że ni zmiękczy ni wzruszy,
Prośba ni rozpacz dziewicy.
Lord Kranston jój oblukiennic⁴⁾,
Cessfordów był pokrewieniec,

Herb jeden na ich sztandarach;
 A wie, że matka jój sroga,
 Wprzód niż ją wydać za wroga,
 Woli wprzód ujrzeć na marach.

XI.

Lady ród wiodła wysoki.
 Ojciec jój mędrzec głęboki,
 Szczep możnych Bethunów domu ⁵⁾,
 Za morzem szukał nauki,
 I w Padwie uczył się sztuki
 Nie dozwolonej nikomu.
 Wieści krążyły u ludu,
 Że czynił, czego bez cudu
 Człek nie dokaże swą siłą;
 I w dzień, gdy szedł w zamyślenie,
 Ni przed nim, ni za nim cieniu
 Od ciała jego nie było ⁶⁾.

XII.

Po ojcu, mówią, z dziecięcą
 Lady tę sztukę posiadała,

Że na jój straszne zakłęcia,
Nadziemskie drżały widziadła 7).
I teraz właśnie, w swój niedostępnej,
Zaczarowanej wieży posepnej,
Powstawszy z gniewem, słucha łoskotu,
Co się wzniósł nagle z fal Tewiotu.
Ryk-że to wody, co gdy przybierze,
Chce swe skaliste skruszyć nadbrzeże?
Szum-że to wichru, co między lasy
Z twardemi dęby idzie w zapasy?
Trzęsienie ziemi, czy łoskot gromu,
Co wstrząsł jak z posad mury Branksomu?

XIII.

Przerażone echem dzikiem
Psy zawyły z przestrichu;
Ćma puszczyków, z głośnym krzykiem,
Rozpierzchła się po gmachu.
Goście z miejsc się swych porwali,
Tłum ku oknom się spycha:
Myślą, burza!— patrzą z sali,
Lecz noc jasna i cicha.

XIV.

Lady odgadła powód loskotu.
 Nie był to loskot fal Tewiotu,
 Nie był to wieher burzy dalekiej,
 Nie grom to wstrząsał Branksonu mury:
 Lady poznała, że Duch to rzeki,
 Przemawiał do Ducha góry.

XV.

DUCH RZEKI.

„Śpisz-li bracie?”—

DUCH GÓRY.

—, Bracie, nie!—

Xięzyc w pełni świeci mnie.
 Na kobiercach moich z wrzосу,
 O Skelfhillu do Craig-crossu *),
 Pod drzewami, nad zdrojami,
 Tłumy Sylfów girlandami,
 W przezroczystej tańczą mgle.

*) Czyt. *Kreg-Krossu*.

Wstań, i obacz tan ich zręczny,
Wstań, i posłysz śpiew ich wdzięczny,
Lub bracie, odwiedź mnie!”—

XVI.

DUCH RZEKI.

—,,Nurt mój mącą łzy dziewicy,
Pięknój Anny z Branksomu,
Co swój serca tajemnicy,
Nie śmie zwierzyć nikomu.
Powiedz ty, co widzisz gwiazdy,
Prędkoż mordy i najazdy
Wezmą koniec na granicy?
Co sądzono dla dziewicy?—
Gdzie jest kres jój doli złój?
Kto ma zostać mężem jój?”—

XVII.

DUCH GÓRY.

—,,We mgle krąży wóz Artura;
Niedźwiedzica zamroczona

Patrzy groźno;—czarna chmura
Stoi w pasie Oryona.
Wyższe gwiazdy w ćmie obłoków,
Nie wyczytać ich wyroków!
Lecz nie pierwój wszystko wróży,
Wojnie koniec, ludziom zgodę,
Aż się Pycha upokorzy,
A Miłość zyszcze swobodę.”—

XVIII.

Nadziemskie duchy mówić przestały,
I loskot umilkł w przestworze;
Tewiot tylko pluska o skały,
I drzewa szumią na górze.
Ale w Branksonie jeszcze się szerzy
Echo ich głosów złowieszce;
Bo brzmi w okolo zaklętj wieży,
I w uchu Lady brzmi jeszcze.
Porywco i śmiało,
Z postawą wspaniałą
Postąpiła ku okuu i mówi:

„Góra wasza pęknie,
„Rzeka w ziemię wsięknie,
„Nim ja córkę oddam wrogowi!”

XIX.

I śpiesząc dąży przez samotne gmachy,
Gdzie śród domowych i gości,
Syn jój, w pancerzu i w szyszaku z blachy,
Bawi się z krzykiem radości.
I małym w rękę wywijając kordem,
Na kiju biega po sali,
Krzycząc, że jedzie na wojnę z Cessfordem,
I zamki wrogów popali.
Starzy wojacy, gościami i słowy
Dodają dziecku ochoty;
Serca ich twarde jak puklerz stalowy,
Wzrusza wesolość sieroty.
Patrzą, i wzajem szepeą wróżby ciche,
Że byle tylko rósł w zdrowiu,
Poniżej kiedyś Jednorożca pychę,
Wskrzési blask Gwiazdy i Nowiu *).

*) Aluzya do herbów Kairów i Buklejew.

XX.

Lady przez chwilę z matczyném wzruszeniem
 Spójrzała na widok ten;
 I wnet, w krąg bystro rzuciwszy spójrzeniem,
 Wyszła — wezwawszy za sobą skinieniem,
 Wiljama de Delorraine.

XXI.

Z tylu rycerzy, co w zamku gościło,
 Nikt mu nie równał postawą i siłą;
 Nikt na turniejach, ni w bitew natłoku,
 Kopii zręczniejsz nie ułożył w toku;
 Od błot Tarrasu do piasków Solwaju,
 Nikt nie znał lepiej mieszkańców i kraju;
 Gdzie stokroć z łupem uchodząc przez jary,
 Zmylił najlepsze Perego ogary^o).
 W niezém dlań nigdzie nie było zapory:—
 Przez góry, rzeki, przez lasy i bory,
 Wię wszystkie ścieżki, i ani się boi
 W czwał gnać po skałach, lub płynąc we zbroi.

Jedno dla niego czas lipca lub grudnia,
Ciemność północy lub skwarność południa;
Niczém dla niego jest mord i pożoga,
Gdy ma łup dostać, lub napaść na wroga.
Pięćkroć przez Szkocką wygnany Królowę,
Unosił życie w kraj nieprzyjacielski;
I pięćkroć wracał, gdy na jego głowę,
Cenę nałożyć Król kazał Angielski.

XXII.

„Rycerzu!— rzekła Lady,— téj nocy,
„Trzeba mi twojej wiernój pomocy.
„Weź najlepszego konia ze stajni,
„I co najspieszniej, i co najtajniej,
„Pędź do Melrozu;— gdzie, skąd, i poco,
„Nie mów przed nikim;— lecz przed północą
„Staniesz na miejscu.— Tam wiedzy czyjój,
„Spytaj o Mnicha Świętej Maryi.
„Pozdrów i powiedz, żem cię przysłała:
„Że przyszła chwila, i że wam obu
„Poruczam dzisiaj zdobyć skarb grobu.
„Bo dziś wilija święta Michała:

„Gwiazdy zamglone, lecz xiężyc czysty;—
 „Czas wam i miejsce krzyż wskaże krwisty.

XXIII.

„Co ci Mnich odda, strzeż i ukrywaj;
 „Wracaj, nie stawaj ani spoczywaj.
 „I czy to będzie pismo, czy xięga,
 „Niech do niej twoje oko nie sięga;
 „Bo gdybyś zajrzał albo dochodził—
 „Lepiejby było byś się nie rodził.”—

XXIV.

—„O! nie bój się Lady! mój dzielny koń gniady,
 „Niech tylko się kopnie z kopyta,
 „Przy Boskiej pomocy, w Melrozie z północy,
 „Tu staniem nim zorze zaświta.
 „I szukać daremnie, lepszego odemnie
 „Do spełnienia twojego rozkazu;
 „Bo czytać nie umiem, pisma nie rozumiem,
 „Xiążki w ręku nie miałem ni razu.”—

XXV.

Rzekł, dopadł konia, wzmocnił się w lęku,
Kopiję z giermka pochwycił ręką,
Scisnął ostrogą:— przez most zwodowy,
Zagrzmiał jak piorun tentent podkowy.
Przez las, na prawo, szybkim zawrótem,
Puścił się drogą nad Tewiotem;
W bok Goldilandu granicznej wieży,
Skalnych Bortwiku dotarł wybrzeży;
W mgle Moat-hillu szczyt ujrzał głuchy,
Gdzie dotąd błądzą Druidów duchy;
Z okien Hawiku, światła w pomroku,
Jak wstęga tylko migły mu w oku;
I wnet jak widmo straszne dla gminu,
Przemknął około bram Hazeldinu.

XXVI.

„Kto? stój!”— strażnicy z baszt zawolali.
— „Swoj— rzekł— z Branksomu!”— i pędził
dalej.

Skrecił na północ, brzegiem strumienia,
 Na stromą górę wbiegł bez wytchnienia;
 Aż nieznużony po trudach tyłu,
 Ujrzał półdrożną bloń Horslie-bilu.
 Na lewo przed nim, pasem leżała,
 Odwieczna Rzymian droga wspaniała.

XXVII.

Tu wstrzymał konia, lecz się niebawił:
 Obejrzał oręż, siodła poprawił,
 I wskoczył na nie:— Jasność xiężycy
 Olbrzymie Mintu skały oświeca,
 Skąd głośny w pieśniach, zbójca przemożny,
 Czyhał przed laty na łup poduożny ²⁾,
 A trąbki jego dźwięk między skały,
 Tysięczne echa w grom zamieniały.
 Delorraine myśląc o nim, żałował,
 Że go dziś niema, by z nim spróbował!

XXVIII.

Szybko i prosto, jak grot do celu,
 Minał szerokie włości Riddelu,

Gdzie Ail z jezior i z gór wezbrany,
Wrąc z szumem tłucze o skalne ściany,
I jak wędzidła koń niecierpliwy,
Fal swych pieniste wydyma grzywy,
Ale dla gońca niema przeszkody —
Sam i koń zbrojny, wskoczył do wody.
Nigdy mąż cięższy, w nocnym pomroku,
Nie walczył z szybszym nurtem potoku.
Koń się ponurzył — jezdziec bez trwogi,
Spiał go wędzidłem, dodał ostrogi;
Koń wzbil się na wierzch — nozdrza rozszerza,
Fala dosięga piersi rycerza,
Pryska nad głowę; — ale odwaga,
Z niebezpieczeństwem równo się wzmaga.
Zwrócił na ukos, i z biegiem prądu,
Kierując zręcznie dobił się lądu.
Koń nie miał czasu parsknąć na brzegu,
Pan go znów bodźcem zmusił do biegu.

XXIX.

Przez Bowden-Moru pędząc bezdroże,
Halidon-Hillu obaczył wzgórze;

I westchnął z smutném wstrząśnieniem głowy:—
 Bo w myślach jego stanął dzień owy,
 Straszny dzień piérwszy wojny domowój,
 Krwawy początek dziedzicznych swarów,
 Przyjaznych dotąd Skottów i Karrów ¹⁰).
 Gdy Król w Duglasów tęskniąc przemocy,
 Wiernój Bukleja wezwał pomocy,
 A wodze Karrów, w stanowczej chwili,
 Zwycięztwo jego w klęskę zmienili;
 A śród pogoni, ciżby i mordu,
 Legł z nich najpiérwszy, Baron z Cessfordu.—

XXX.

Z gniewem w bok konia topiąc ostrogi,
 Delorraine mijał widok złowrogi;
 Aż z góry we mgle ujrzał w oddali,
 Cień wież Melrozu, błysk Twidu fali.
 Olbrzymi naksztalt skały szerokiej,
 Gmacz się kościelny dźwigał w obłoki,
 A w koło w massach skupione mury,
 Tworzyły widok groźno ponury.

Gdy mijal Hawik, bębniiono zorze:
Teraz na północ dzwonią w klasztorze,
Kapłani Laudes śpiewają w chorze.
Śpiew uroczysty, poważném echem,
Mdlal lub się wzmagał z wiatru oddechem,
Jako ta arfa, w powietrzu brzmiąca,
Której wiatr tylko stróny potraça.
Lecz jak bądź goniec pośpieszał rychło,
Nim dobiegł bramy, wszystko ucichło.
Sam konia swego zawiódł do stajni,
I co najspieszniej, i co najtajniej,
Jak duch, w pół widny we mgle wieczorniej,
Szedł ku podwojom ferty klasztornej.

Tu stróny zmiłły;— z echem ich brzmienia,
Zgwał w duszy wieszczą zapal natchnienia.
Skromnie ku arfie naklonił czoło,
Nieśmiałym wzrokiem rzucił w około;
Znać, że w obecnych twarzy i oku,
O pieśni swojej szukał wyroku;

I jakby nie śmiać ufać pochwale,
Niec o dawnym wspomniał zapale,
I jak w nim nędza i wiek zwałili,
Lepsze za młodu pamięć i siły.

Xiężna i wszystkie damy orszaku,
Umiały pojąć wieszczą w śpiewaku,
I z szecerem czuciem, głośno oddały,
Jemu i pieśni winne pochwały.
Starzec ośmielon słodką ich mową,
Tak pieśń swą nucić zaczął na nowo.

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny ¹⁾,
Idź, gdy je nocy mrok ogarnął siny.
Wesoła jasność dziennego promienia,
Złocąc je, zda się uragać z zniszczenia.
Lecz gdy z za chmury wyrzzy xiężyc blade,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Mdlém jego światłem bielejąc po wierzchu,
Czernią się spodem jak otchłanie zmierzchu;
Gdy każda ściana w cieniach lub jasności,
Zda się z hebanu, lub słoniowej kości;

A w kolo wieków w pół zatarte rysy,
 Obrazy świętych, grobowe napisy,
 Mówią z przeszłości; — a szum Twidu fali,
 Albo huk sowy slychać tylko w dali; —
 Wtedy wędrowcze, idź, gdy ci się przyda,
 Idź na gruz gmachu Świętego Dawida,
 I gdy czuć umiesz, wyznaj, żeś ni razu
 Tak uroczego nie widział obrazu.

— II. —

Słepy na urok malownych scen,
 Wielkimi kroki szedł Delorraine,
 I rękojeścią swego klajmoru,
 Bił, co miał siły, w forcie klasztoru. —
 „Kto tam?” — głos z wewnątrz ozwał się groźnie,
 „Czemu tak głośno? poco tak późno?” —
 — „Goniec z Brauksomu”! — Ledwo domówił,
 Drzwi się otwarły, stróż go pozdrowił. —
 Bo z dawien dawna Buklejów plemię,
 Prawa i właści Melrozu strzeże,
 I hojne dary, skarby i ziemie,
 Za dusze swoje święci w ofierze.

III.

Delorraine krótko cel swój wymienił.
Stróż nie rzekł słowa, lecz się nie lenił:
Zatlił pochodnię, i idąc wprzódy,
Przez kryte ganki, przez kręte wschody,
Ostróżnym krokiem, boso, w kapturze,
Sunął się cicho, jak cień po murze;
Gdy łoskot zbrojnej rycerza stopy,
Krok w krok sklepione wtórzyły stropy.
Aż uchylając helmu i szyi,
Wszedł we drzwi Mnicha Świętej Maryi,
I pozdrowiwszy skinieniem głowy,
Wznosząc przyłbicę, rzekł temi słowy.

IV.

„Lady z Branksomu tu mię przysłała:
„Mówi, że przyszła chwila, i obu
„Zleca nam dzisiaj zdobyć skarb grobu.
„Bo dziś wilija święta Michała:
„Gwiazdy zamglone, lecz xiężyc czysty;—
„Czas nam i miejsce krzyż wskaże krwisty.”—

V.

Z twardej pościeli, **Mnich** ze snu zbudzony,
 Zwłokł wyschłe członki, i stał cały drżący.
 Wiek stuletniemi ubielil mu szrony,
 Poważną brodę i włos rzedniejący.
 Stał, i na gońca obrócił źrenice,
 W głębokich jamach tłące podę brwiami:
 „Tyżbyś śmiał zgłębiać straszne tajemnice,
 „Co Bóg i szatan chce ukryć przed nami?—
 „Patrz na mnie! widzisz z mojego oblicza,
 „Com cierpiał;— skóra odpadła od kości,
 „Od włosienicy i ostrego bicia;—
 „Przez lat sześćdziesiąt ciało moje pości,
 „Żyjąc o chlebie i wodzie;— kołanem
 „Starłem kamienie podłogi;— a przecie,
 „Nie wiem, czy dotąd nie stoi przed Panem,
 „Grzech, com go z młodu popelnil na świecie,
 „Chcąc przedrzeć chmurę, którą Bóg na ziemi,
 „Rozdzielił wiecznie duchów z śmiertelnymi!—
 „Zważ więc!— lecz jeśli odrzucisz przestrogę,
 „Jeśli wiek cały strawiwszy w pokucie,

„Chcesz drzeć o duszę w ostatniej minucie;—
„Pójdź!— obiecałem — pokażę ci drogę.”—

VI.

—, Pokut ja żadnych czynić nie myślę,
„Post chyba w głodzie zachowam ściśle;
„Trzepię jak umiem *Pater* i *Ave*,
„Gdy siadam na koń iść na wyprawę,
„Lecz piekłem sobie głowy nie suszę.—
„Czyń więc co trzeba, bo śpieszyć muszę.”—

VII.

Znowu na niego Mnich spójrział zdumiały,
I patrząc westchnął głęboko.
Bo i on kiedyś był wojownik śmiały,
I w świecie sływał szeroko.
I wspomniał siebie, gdy w zbroi promiennój,
Z krzyżem na piersiach, wesoly,
Na morzu z fali urągał bezdennój,
Lub koniem ścigał sokoly.
Wspomniał— i kijem podpierając kroki,
Schylony, drżący, pokorny,

Wiódł gościa kędy krużganek wysoki,
 — Otaczał ogród klasztorny.
 Cień mrocznych sklepień padał na ich głowę,
 A stopą glazy deptali grobowe ²⁾).

VIII.

Ziola i kwiaty mgłą nocną obwiane,
 Błyszczały rosą;— a xiężyc na ścianę
 Padając z boku, oświecał dokola,
 Podobneż w rzeźbie i kwiaty i ziola.—
 Mnich stanął nagle, i trwożne źrenice
 Zwrócił ku stronie północnej;
 Gdzie jak z wulkanu skry i błyskawice,
 Tryskaly z ciemności nocnej.
 I to jak race, śmigając ku górze,
 To w bok, jak szmerle rozpierzchle,
 Czerwoną luną, jak polarne zorze,
 Oblaly niebo zamierzchle.
 Mnich zdwoił kroku, i szepcąc akt skruchy,
 Korzył się w częstych westchnieniach;
 Bo on to poznał, że nieczyste duchy
 Bujaly na tych promieniach.

IX.

Przez kute z miedzi wążkie drzwi poboczne,

Weszli do środka kościoła.

Na lekkich słupach, szczyty jego mroczone

W ciemnościach nikły do koła.

Gdzie niegdzie tylko promień xiężycowy,

Przez okna padając z góry,

Oświecał obszar olbrzymiej budowy,

I kształty wewnętrznej struktury.

Luki rzucone w szerz bokowych skrzydeł,

Cud dłóta, podziw spojrzenia;

Gzymсы z potwornych masek i straszdeł,

Zdobiły kosze sklepienia.

A słupy cienkie, od góry do dołu

W trofeach między kwiatami,

Zdały się każdy pękiem dzid, pospołu

Pozwiązywanych wieńcami.

X.

Z ponurém echem wiatr wiejąc przez szpary,

Wstrząsał chorągwie i stare sztandary,

Tkwiące przy wielkim oltarzu.
 Tam jedna tylko, ze srebrzystej urny,
 Bładowa lampa, siała blask pochmurny,
 Na groby wasze, wodzu Otterburny,
 I Liddesdalski mocarzu!—³⁾
 O! marne szczęty wielkości światowej:
 Blask tylko lampy i marmur grobowy!

XI.

W oknach, przez które lśnił xiężyc promienny,
 Splot fantastyczny trelazy *) kamiennój,
 Zdumiewał oczy patrzące;
 Rzekłbyś że wróżka, z dziecinnój swawoli,
 Prątkami z trzciny, gałęzie topoli
 Pogięła w węzłów tysiące,
 I potem wręście, dla lepszych omamień,
 Wiotką pleciankę zamieniła w kamień.

*) Wyras techniczny, z francuzkiego *treillage*; kratkowanie w oknach gotyckich.

Srebrzysta jasność, w pośród ram tych krętych,
 Na tle szyb w różnych kolorach,
 Ukazywała Proroków i Świętych,
 W różnobarwistych ubiorach.
 W środkowém oknie stał Archanioł Michał,
 Z chorągwią z krzyżem czerwonym,
 Deptał Szatana i w otchłań go spychał,
 Godząc weń mieczem wzniesionym.
 Przez tę chorągiew blask przechodząc z góry,
 Krwawy znak krzyża rzucił na marmury.

XII.

Delorraïne z Mnichem usiedli na grobie.—
 Był to grób króla Szkockiego *);
 A Mnich, znać było, że gwałt czyniąc sobie,
 Tak z cicha mówił do niego.
 „Nie zawsze byłem, czém mię widzisz teraz;
 „W krainach Maurów pogańskich,
 „Z młodu za wiarę krew przelałem nie raz,
 „Walcząc w szeregach Hiszpańskich:
 „Dziś wzrok mój ćmi się patrząc na twą zbroję,
 „Szczęk twego miecza razi ucho moje.

XIII.

- „Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało
 „Napotkać Michała Skotta ⁵⁾.
 „Świat drżał przed jego czarnoksiężką chwałą;
 „Bo gdy go wzięła ochota,
 „Dać tam swym uczniom dowody swęj siły,
 „I laską powiódł po śpiżu:
 „Z wież same dzwony na trwozę dzwoniły,
 „I wieże drżały w Paryżu ⁶⁾.
 „Mag mi przez przyjaźń odkrył tajnie swoje,
 „Pozwolił użyć wyrazu,
 „Co szczyt Ejldonu rozszczepał na troje,
 „I przez Twid rzucił most z glazu ⁷⁾.
 „Lecz, wojowniku, powtórzyć go tobie,
 „Byłoby zgubić twą duszę;
 „A i tak nawet, żem go wspomniał sobie,
 „Pokutę potroić muszę.

XIV.

- „On też na swojej śmiertelnęj pościeli,
 „Poznał, że moc ta jest grzechem.

„Jam był najbliższy z jego przyjacieli,
„Kazał mi przybyć z pośpiechem.
„W Madrycie jego odebrałem hasło,
„Gdy słońce wstawało z morza;
„I, wojownik, nim słońce zagasło,
„Stałem tu, u jego łoża.
„Co mi powiedział ostatniemi słowy,
„Nie pytaj! — straszna ich siła,
„Na grób by jego i na nasze głowy
„Sklep téj świątyni zrzuciła.

XV.

„Lecz jak mi kazał, złożyłem przysięgę,
„Pogrześć z nim razem jego Czarno-xięgę,
„Nie okazując nikomu;
„Prócz gdyby chyba w gwałtownej potrzebie,
„Dla swego klanu, lub samego siebie,
„Ządał jej Buklej z Branksomu.
„Wtedy ją z grobu wziąć mogłem jedynie,
„Lecz pod przysięgą, gdy potrzeba minie,
„Ze ją na nowo zagrzebię.

„W nocy, przede dniem Świętego Michała,
 „Tu go złożyłem w grób ciasny,
 „Gdy z wieży pierwsza godzina zabrzmiała,
 „A z okien xiężyc lśnił jasny.
 „Umyślnie na to wybrałem tę chwilę,
 „Aby ów krzyż Archaniola,
 „Swięcąc wprost wtedy na jego mogile,
 „Złe duchy ploszył dokoła.

XVI.

„Straszna to była noc!— Kościół ten cały,
 „Drżał, jak od ziemi trzęsienia;
 „Chorałwie same bez wiatru szumiały,
 „A z za filarów, śród cienia,
 „Słyszałem śmiechy i głosy złowieszcze:—
 „Włos się na głowie mej jeżył;
 „Jednak” — Mnich dalej chciał coś mówić jeszcze,
 Wtém zegar pierwszą uderzył.—
 Delorraine dotąd nie wiedział co trwoga:
 Na rzędy włóczni, na zastępy wroga,
 Na śmierchy nawet szedł śmiało;—

W tej chwili jednak dreszcz go przejął zimny,
I gdy za Mnichem powtarzać chciał hymny,
Głosu mu w piersiach nie stało.

XVII.

„Teraz, rycerzu, teraz chwytaj porę!
„Krzyż lśni na grobie mocarza.
„Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
„Którój blask duchy odraża ⁶).
„Gore, i będzie goreć nieprzerwanie,
„Aż na sąd straszny pan jój nie powstanie.”—
Mnich rzekł, i wskazał na środku kościoła,
Głaz niczém nieodznaczony,
Prócz że nań z góry sztandar Archaniola,
Rzucił cień krzyża czerwony.
Delorraine idąc za Mnicha rozkazem,
Znalazł w framudze drąg kuty żelazem,
I jak mógł krzepił ochotę.
Mnich bił się w piersi, i grób w koło żegnał,
I jakby pewny że duchy odegnał,
Dał znak by zacząć robotę.

XVIII.

Z bijącym sercem, natężając siłę,
Ze wszech stron rycerz ciężką wzruszał bryłę,
I krwawym oblał się potem;
Dwakroć odpoczął: — lecz za trzecim razem,
Głaz zasadzonym podjęty żelazem,
Na bok odwalił z łoskotem. —
O! wtenczas, chciałbym, żebyście tam byli!
Bo czyż wam zdołam wystawić,
Obraz téj chwili, gdy światło z mogiły
Buchnęło luną błyskawic;
I w mgnieniu oka, jak blask meteoru,
Oblało oltarz i ściany,
I kolumnadę krużganków i choru,
I sklep w trójkąty łamany? —
Z zbroi rycerza jak płomień wytrysnął,
Jak śnieg zaiskrzyło pióro;
Mnich prędko kaptur na oczy nacisnął,
I w ziemię patrzył ponuro.

XIX.

W całej postaci Mał leżał przed niemi,
Jakby od wczoraj złożony do ziemi.
Do pasa długa broda jego biała,
Jak biały całun pierś mu okrywała;
Sto lat przeżytych znać było z oblicza,
Gdzie tchnęła jeszcze wielkość tajemnicza.
Strój miał pielgrzymi, bez żadnego znaku,
I pas w złociste godła zodyaku;
Srebrny krucyfiks trzymał w dłoni prawej,
Pod lewą, gruba, żalobnej oprawy,
Leżała xięga na kłanry zamknięta,
A w nogach lampa płonęła zakłęta.
Twarz była cicha i wypogodzona,
Mnich wniósł, że dusza być musi zbawiona.

XX.

Nieraz na polach krwią ludzką okrytych,
Delorraine koniem tratował zabitych,
I nie czuł zgryzot ni strachu;

Lecz go przejęły i strach i zgryzota,
Widząc otwarty grób Michała Skotta,

I blask ów nagły po gmachu.

Krew skrzepla lodem, i stał jak przykuty.

Mnich bił się w piersi, i akty pokuty

Odmawiał głośno, żarliwie;

Lecz w grób już więcéj nieśmiał rzucić wzroku,

Bo czuł, że dłużej nie zniesie widoku,

Tego, co kochał tak tkliwie.

XXI.

I domówiwszy swojego pacierza:

„Czyń, co masz czynić!” krzyknął na rycerza,

„Śpiesz, albo biada nam obu!

„Nie możesz widzieć, bo śmiertelne oczy

„Znieśćby nie mogły, tłumy co się tłoczy

„Nad brzeg otwartego grobu.”—

Delorraine chwili nie tracąc daremno,

Przyklął, i z grobu wziął sięgę tajemną,

I nagle porwał się z trwogą;

Bo czy to światło co wzrok oślepiąło,
Czy strach go złudził:— dość że mu się zdało,
Ze martwy zmarszczył się srogo ?).

XXII.

Gdy kamień znowu pokrył wierzch mogiły,
Głębsze niż przedtém ciemności wróciły,
Bo xiężyc zaszedł, a gwiazdy się ściły.—
Mnich z Delorrainem przyspieszając kroku,
Szli, i drzwi długo w nieprzejrzanym mroku
Nie mogli znaleźć z przestachu;
Bo wciąż, długimi powtarzane echo,
Nadludzkie głosy i szydercze śmiechy,
Brzmiały za nimi po gmachu.
Rzekłbyś, że duchy radośnym okrzykiem,
Tryumfowały z urąganiem dzikiem,
Że na świat idą ich czary.—
Co w tém jest prawdy?— gdybyście spytali,
Nie śmiałym ręczyć:— lecz tak powiadali,
Starcowie, co godni wiary.

XXIII.

„Teraz uciekaj!”— rzekł Mniech na podworzu:
 „A gdy już będziem na śmiertelném łożu,
 „Wzywajmy Świętych opieki:
 „By przez ich możną za nami przyczynę,
 „Bóg litościwy odpuścił nam winę,
 „I nie potępił na wieki!”—

Rzekł, i sam jeden wrócił do swój celi.—

Ale gdy w chorze nie widząc go rano,

Bracia w południe do drzwi jój zajrzeli,

Już go martwego zastano.

Leżał na ziemi krzyżem rozciągnięty,

Lecz w twarzy jego jaśniał pokój święty.

XXIV.

Rycerz wyszedłszy z pod sklepień kruz-
 ganku,

Odetchnął wolniej świeżością poranku.

Dopadł rumaka, i pędząc co siły,

Rad był że minął klasztorne mogiły.

Bo mu na piersiach jak ołowiu bryła,
Tajemna xięga pod zbroją ciężła;
I jakby własnym ożywione duchem,
Czuł że jój karty ciąglým drgały ruchem.
Lecz nabral męztwa, gdy z wyższych gór szczytu,
Ujrzał świecący pierwszy promień świtu;
I aby całkiem pokonać obawę,
Trzepał jak umiał swój *Pater* i *Ave*.

XXV.

Słońce rumieni szczyt Czewiotu,
Słońce na skalnym błyszczy Karterze;
I już niém iskrzy nurt Tewiotu,
I już niém tłą się Branksomu wieże.
Ptastwo się zewsząd chorem ozwało,
Wietrzyk odetchnął wonią poranna,
Kołysząc zlekka liliję białą,
Lub rozwijając różę rumianna.
I już, piękniejsza niż kraśne róże,
Choć od lilii bładza od żalu,
Swoje bezsenne rzuciła łoże,
Królowa dziewic Tewiot-dalu.

XXVI.

Czemuż to piękna Anna z Branksomu,
Wdziewa tak rano, strój tak powabny?
Czemu tak z drzeniem, tak pełna sromu,
Sznuruje śpiesznie stanik jedwabny?
Czemu tak w koło rzuca wzrok strachu,
Zbiegłszy na boczny dziedziniec gmachu?
Czemu tak czule brytana głaszcze,
Co już by szczeknąć otwierał paszczę?
Czemu choć cała kwefem okryta,
Stróż jej „kto idzie?” w bramie nie pyta?
Gdzież to tak sama śpieszy w tej porze,
Gdy ledwo pierwsze zabłysło zorze? —

XXVII.

Anna z Branksomu stąpa tak z trwogą,
By ujść przed matki czujnością srogą;
Głaszcze brytana, bo wie że ludzi
Głos jego gruby w zamku rozbudzi;
Strażnik jej daje przechód bezpieczny,
Bo tym strażnikiem jest brat jej mleczny;

A tak się rano z zamku wymyka,
By spotkać w gaju Lorda Henryka.

XXVIII.

I już pod cieniem drzew zielonych wianków,
Usiadła para szczęśliwych kochanków;
A pary siebie godniejszej wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie.
On młody, rażny, szlachetnej postawy,
Grom w pośród bitwy, i dusza zabawy;
A ona, ona!— gdy widok młodzieńca,
Oblal jej lice szkarłatem rumieńca;
Gdy każde tchnienie jej piersi miotanęj,
Zaokrąglalo jej strój sznurowany;
A w dół spuszczone błękitne źrenice,
W łzach malowały serca tajemnicę:—
Gdzież piękność, która w tej chwili bez sromu,
Śmiałaby w równi iść z Anną z Branksomu?—

XXIX.

O! teraz widzę, że moje pienie,
Szlachetne Damy! serce wam wzrusza.

Ku mnie się zwraca wasze spójrzanie,
W każdym spójrzaniu lśni wasza dusza!
Czekacie pewnie tkliwej powieści,
Tęsknej rozkoszy, słodkiej boleści,
Co pierś kochanków przejmuje:
Jak śmiały rycerz w słowach płomiennych,
Czci niezachwianej, uczuć niezmiennych,
Świętość i zapal maluje;
I jak dziewica, z cichém westchnieniem,
Wpół z przelęknieniem, wpół z rozrzewnie-
niem,
Słucha, i słuchać się boi;
I jak nakoniec, lekką zasłoną
Na wpół obwianą, skroń zapłonioną,
Oparła na jego zbroi;
I cichym głosem, ledwo słyszonym,
To raz nagłonym, to przerywanym,
Rzekła: że byle w ich domu,
Krwawa nieprzyjaźń była skończona,
Ręki swój, oprócz Lorda Kranstona,
Nigdy nie odda nikomu.

XXX.

Ale niestety, szlachetne Panie!

Próżne jest wasze oczekiwanie:

Widzicie ten szron starości;—

Wiek mię oziębił, nędza mię tłoczy,

Arfa straciła dźwięk swój uroczy,

Nie śmiem już śpiewać miłości!—

XXXI.

Blizko pod dębem, na straży od blonia,

Karzel Barona trzymał jego konia ^{1°}),

I włócznię, i hełm z piórami.

Karzel, nie wiedzieć czy ze krwi i z ciała,

Jeśli prawdziwa wieść o nim biegła

Nad Tewiotu brzegami.

Razu jednego Lord będąc na łowach,

W mało zwiedzanych Ridsdalu dąbrowach,

Nagle w gęstwinie usłyszał zdziwiony,

Okrzyk: „stracony! stracony! stracony!”

I wnet jak pilka palantem podbita,

Postać w pół ludzka, w pół malpia, w kłęb zwita

Na stóp trzydzieści trzy z głębi gęstwiny

Dała skok w górę, i w środku doliny,

Upadła pod jego stopy.

Baron śpiął konia i puścił wędzidło,

I gwał co siły;— lecz karle straszycło

Leciało za nim tuż w tropy.

I w tymże czasie, co koń jego miłę,

Ubiegło pieszo cztery razy tyle;

I gdy Lord Kranston, czyniąc krzyża znamię,

Wjeżdżał w swój zamek— spotkało go w bramie.

XXXII.

Czas, powiadają, i z czartem oswaja.

Baron i cała domowników zgraja,

Nawykli zwolna do Karła.

On nic nie robił, mało pił i jadał,

Rad strouił wszystkich, i z nikim nie gadał;

Lecz gdy był jeden, machając ramiony,

Wrzeszczał: „stracony! stracony! stracony!”

I śmiał się z całego gardła.

Był zły, gniewliwy, i mściwy niezmiernie,
Lecz Baronowi pokornie i wiernie

Służył, i pełnił co kazał.

Mówią, że nawet ocalił mu życie:

Ostrzegł o zdradzie uknutej nań skrycie,

I drogę ujścia pokazał.

XXXIII.

Bo gdy Lord Kranston raz do kaplicy,

Słynną cudami Boga-Rodzicy,

Po nad Yarrowem, blisko granicy,

Szedł z nim, by ziścić swe śluby:

Nie wiedzieć jako, Lady z Branksomu

Miała wieść o tém, i pokryjomu,

Zwoławszy krewnych swojego domu,

Osnuła myśl jego zguby.

Z Newark-Lee *), pierwsi wodzowie klanu,

Walter z Hardenu, Jan z Tirlestanu,

Delorraine pierwszy podżegacz planu,

Przez las, wzdłuż brzegów Yarrowu,

*) Czyt. *Niurark-Li*.

Trzysta trzy włócznie wiodąc za sobą,
 By go tam napaść, szli nocną doba,
 I byli pewni połowu.
 Ale Paź-Karzel, mówią, przez czary,
 Wiedział ich przyjście, odkrył zamiary:—
 Lord z nim przed świtem uszedł przez jary;
 I gdy Skottowie przybyli,
 W próżnej wścickłości z gniewu i sromu,
 Mszcząc się zawodu na Bożym domu,
 Obraz z kaplicą spalili ¹¹).

XXXIV.

W téj chwili Karzel trzymając konia,
 Czujny wzrok ciągle zwraca na blonia.
 Nagle koń chrapnął, nastawił ucha,
 Karzel ku ziemi zgiął się i słucha:
 I wywijając w górze ramiony,
 Dał wnet kochankom znak umówiony.—
 Nie było czasu długiej rozmowy,
 Przysiąg, pożegnań;— tentent podkowy
 Słychać zdaleka: — jak gołębica
 Przed lotem ptaka, trwożna dziewica,

Śpieszy do zamku:— Lord Henryk śmiało,
Słuchając echa co się zbliżało,
Stał jeszcze w miejscu:— lecz Karła rada
Przemogła wręście;— na koń więc wsiada,
I w myślach na dół zwiesiwszy głowę,
Zwolna w cienistą jedzie dąbrowę.

Kiedy tak śpiewał wieszcz osiwiwały,
Głos i natchnienie coraz słabiały.
Postrzegł to młody Paż, i z uśmiechem
Wybiegł, i z czarą wrócił z pośpiechem:
Z czarą Welezu winnej purpury.
Bard ze łzą w oku, wznosił ją do góry,
I drżąc polecał opiece świętej,
Dom, gdzie syn pieśni tak był przyjęty.

Młode dziewice kryły śmiech pusty,
Patrząc jak starzec chciwemi usty,
Z jaką roskoszą chylił z puharu,
Ożywiające krople nektaru.

On zgađł ich myśli, i patrząc w koło,
Wzajem się ku nim zaśmiał wesoło.
Bo czuł jak coraz rosła w nim siła,
Jak coraz żywiej krew w nim krążyła;
I coraz jaśnieją czując swe treści,
Tak ciągnął dalej rym swęj powieści.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

—(o-o)—

I.

JAŻEM powiedział, że mię los tak zgnębił;

JAŻEM powiedział, że czas tak oziębił

Serce me szronem starości:

Że nie śmiem śpiewać bóstwa, co udziela

Barw najświetniejszych marzeniom Minstrela,

Że nie śmiem śpiewać miłości?—

Nie, nie!— dopóki w piersiach bije serce,

Póki choć jeszcze w ostatniej iskierce

Tli zapal wieszczego ducha:

Na samą wzmiankę świętego imienia,
Serce się musi obudzić z uspienia,
Natchnienie iskrę rozdmucha!

II.

Miłość w pokoju,
Stroi flet pasterzy;
Miłość śród boju,
Krzepi miecz rycerzy.
Miłość w pałacach,
Na ucztach przewodzi;
W chatach, po pracach,
Znój rolnika sładzi.
Ludziom nagradza
Trud ziemskich padołów;
W niebie jój władza,
Jest szczęściem Aniołów.
Dzielona wzajem,
Niewinna z ufnością,
Świat czyni rajem,
Bo raj jest miłością.

III.

O niej, jak sędzę, pochyliwszy głowę,
Dumał Lord Kranston jadąc przez dąbrowę,
I w myślach z Anną przedłużał rozmowę.—
Wtém karzeł nagle świsnął i zawołał,—
Lord spójrział w górę, lecz ledwo co zdołał
Spuścić przyłbicę, już prosto nań z boku,
Olbrzym nie rycerz gnał z kopią w toku.
Koń był śpioniony, okryty kurzawą,
Zbroja rycerza przyémiona rdzą krwawą;
Sam chwiał się w lęku, i tak się zdawało,
Ze musiał nie spać i jechać noc całą.
Nie spał i jechał—i nie dbał o sen;
Bo tym rycerzem, był sam Delorraine.

IV.

Ale wnet znikły i ślady znużenia,
Gdy błyskający z niegęstych drzew cienia,
Ujrzał hełm zdala, i poznał po godle:
„Broń się, bo zginiesz!” zawołał tuż w podle.—
Kranston się raźnie umocnił na siodle—

I był to widok godzien oczu Barda! —

Groźne pytanie i odpowiedź harda,

Dały znak boju.— Obadwa ich konie,

Jakby dzieliły nienawiść, co plonie

W sercu ich panów, parskaly i rzały,

Rzekłbyś patrząc, że się ośmielały

Ku przeczuwanęj potrzebie;

Gdy tocząc niemi między rzadkim gajem,

Jeden i drugi szukali nawzajem

Korzyści miejsca dla siebie.

V.

Kołem harcował koń dzielny Barona,

On się pomodlił, westchnął pokryjomu:

Modlitwa była do jego Patrona,

Westchnienie było do Anny z Branksomu.

Delorraine zamiast westchnień i modlitwy,

Zgrzytał zębami z przewłoki gonitwy,

I zwarłszy konia, wprost pędził do bitwy.

O! widzieć było, gdy w pędzie, z loskotem,

Starli się — echo rozległo się grzmotem.

VI.

Delorraine z gniewem moc całą wysilił,
Kranston się zachwiał i na wznak pochylił.
Dosiedział jednak; pióra tylko wietsze
Z kity się jego rozpierzchły na wietrze,
Gdy włócznia wroga, jak maszt śród nawaly,
O tarczę jego prysnęła w kawały.
Silniej czy trafniej wymierzył snąc swoje,
Bo przebił tarczę, koleczugi i zbroję,
I w piersiach wroga załamał żelezca.
Jeździec nie upadł, lecz słabszy od jeźdźca
Koń się zatoczył, i jak martwe brzemię
Runął, i pana pociągnął na ziemię.
Kranston wstrząśniony gwałtownością ciosu,
Nie widział nawet przeciwnika losu.

VII.

Lecz gdy po chwili obaczył leżących,
Konia i jeźdźca, w krwi własnej broczących,
Litość go zdjęła nad krewnym kochanęj;
Kazał Karłowi opatrzyć mu rany,

I wieźć do zamku, by go wzięły strażę,
 „Śpiesz tylko, dodał, i spełń co ci każe.
 „Mnie chwila droga, bom jeszcze nie gotów
 „Iść na sąd Boski, by czekać na Skottów.”—

VIII.

Rzekł, i w czwał dalej puścił się dąbrową.
 Paź patrzył za nim potrząsając głową;
 Nie miał on nigdy chęci do dobrego,
 Lecz rozkaz Pana był prawem dla niego.
 Kiedy więc zaczął oglądać rycerza,
 Xięgę sterczącą ujrzał z pod pancerza.
 Zdziwił się mocno, że rycerz tak dzielny,
 Jeździ z xiążkami jak klecha kościelny;
 Potem, nie dbając że ranny umiera,
 Chciał naprzód wiedzieć co xięga zawiera.

IX.

Lecz się z klamrami musiał biedzić długo:
 Co odpiął jedną, i chciał odpiąć drugą,
 Pięrsza znów mocniej niż wprzód zaskoczyła.
 Zgadł, że je broni czarnoxięzka siła,

I że trud próżny, bo jój nie pokona
Bez znaku krzyża, ręka nicochrzczona.
Lecz znalazł sposób na sztukę szatańską:
Krwiał je z ran jeźdźca potarł chrześcijańską;
I gdy otworzył, z uwagą głęboką,
Trafił na rozdział, jak omamić oko¹⁾):
By zwierz człowiekiem, człek zdać się mógł
zwierzem,
Rycerz dziewicą, dziewica rycerzem;
By sieć pajęcza w podziemnym więzieniu,
Zdała się rzeźbą na złotym sklepieniu;
Obronny zamkiem, lada chaty strzecha,
Nawą żaglowną, łupina z orzecha;
Słowem, by w żywym czy martwym przedmiocie,
Pozór był inny, niż przedmiot w istocie.

X.

Karzeł się bardzo ucieszył z nauki,
Śmiał się, i w myśli snuł przyszłe swe sztuki.
I już wytrzeszczał wzrok na rozdział wtóry:—
Wtém wiatr zaświstał, i policzek z góry

Spadł nań jak piorun;—wzrok mu się zamro-
czył,
Padł jak nieżywy i w kłęb się potoczył.
Powstawszy jednak, ogłuszony ciosem,
„No, starcze, bijesz!” rzekł tylko półgłosem;
I choć ciekawość wrzała najgoręcej,
Do strasznej xięgi nie śmiał zajrzeć więcej:
Któręj też kłamry, straciwszy krwi plamę,
Znowu jak przedtém zamknęły się same.
Wziął ją jednakże i ukrył w swój szacie.—
Lecz zkąd policzek?—jeżeli spytacie,
Nie nie śmiem twierdzić:—ale raz tak dziełoy,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej ²).

XI.

Karzel tymczasem, choć w brew swój ochoty,
Do nakazanej zabrał się roboty.
Podźwignął konia, jeźdzca złożył w łęku,
I sam za cugle prowadząc go w rękę,
Wiódł wprost do zamku;—straż oczarowana,
Widziała tylko, że wjeżdża wóz siana.

On wszedłszy w bramę, rycerza we zbroi,
Niósł aż do Lady zaklętych podwoi,
I gdyby wewnętrznych czarów się nie trwożył,
Na jéjby łożu niechybnie go złożył.
Lecz stanął w progu, i niemile brzemię
Podniósł nad głowę i rzucił o ziemię:—
Bo ile razy miał porę po temu,
Zawsze coś złego chciał zrobić każdemu;
I śmiał się dziko, potrzásając głową,
Gdy krew z ran płynąć zaczęła na nowo.

XII.

Wracając, ujrzał w dziedzińcu na dole,
Bawiące samo, nadobne pacholę.
Wpadł zaraz na myśl, by nie tracąc czasu,
Zwabić je z sobą i uwieść do lasu;
I nie mógł wstrzymać dzikiego chychotu,
Myśląc co przez to nabroi kłopotu.
Bo zły czyn każdy był jego żywiołem.—
Zdał się więc dziecku chłopięciem wesołym,
I wynieść z zamku namówił je społem.

Tuż przy ich drodze przedmostowa warta,
Widziała tylko brytana i charta.

XIII.

Karzeł swą zdobycz prowadząc przez niwy,
Różne mu w lesie obiecywał dziwy.
Aż gdy zabrnąwszy w głąb ciemnego gaju,
Przyszli nad brzegi bystrego ruczaju,
Bieg żywěj wody zniszczył nagle czary³⁾,
I Karzeł wrócił do kształtu poczwary.
Gdyby w tój chwili śmiał iść za swą chętką,
Męczyłby dziecię;—lecz przypomniał prędko
Moc jego matki, i bojąc się kary,
Musiał powściągnąć złośliwe zamiary.
Krzyknął więc tylko na biedną dziecinę,
I dał skok w górę, i zapadł w gęstwinę;
Głos przeraźliwy, ze śmiechem złączony,
Zabrzmiął: „,stracony! stracony! stracony!”

XIV.

Dziecię przelękle nadludzkim widokiem,
Nie śmiać ni płakać, ni ruszyć się krokiem,

Drżało jak trzcina nad bystrym potokiem.
I gdy się wreście ozierając wszędy,
Chciało iść nazad, nieświadome kędy,
Na każdy szelest drzew albo powiewu,
Karzeł mu zdał się wyskakiwać z krzewu,
I śmiać się śmiechem szyderstwa i gniewu.
Tak coraz bardziej zbijając się z toru,
Zamiast do zamku, szło dalej wzdłuż boru;
Aż usłyszało, z głębi dzikich jarów,
Gończe szczekanie myśliwych ogarów.

XV.

Głos bliżej, bliżej—aż tuż w ślady sarny,
Ziajany z gęstwy wypadł ogar czarny,
I wzniosłszy paszczę wietrzącą po tropie,
Rzucił się obces na bezbronne chłopię.
Była to scena malowania warta:
Gdy chłopiec widząc psa tylko, nie czarta,
Poczuł w swém sercu godne ojców męztwo,
I niepamiętny na niebezpieczeństwo,

Z twarzą i okiem iskrzącém od gniewu,
Plecami tylko przyparł się ku drzewu,
I gdy nań ogar już zęby wyszczerzył,
Kijkiem co trzymał, tak zręcznie uderzył,
Że pies odskoczył, stanął, grzbiet najeżył,
I nie śmiać kąsać, już tylko zdaleka,
Szczekał zajadle, czekając człowieka.

Jakoż wnet, pelen zapалу,
Myśliwiec nadbiegł, i psa gdy obaczył,
Myśląc, że zwierza grubego osaczył,
Podniósł łuk jakby do strzału.
Wtém z drugiej strony głos zabrzmiał strze-
lecko:

„Hop, hop, Edwardzie! nie strzelaj, to dzie-
cko!”—

XVI.

Mówca po chwili ukazał się z chróstu.
Lucznik angielski, wysokiego wzrostu;
Krótki do kolan strój jego zielony,
Czapka z piórami, włos krągło strzyżony;

Na czapce świecił krzyż, Anglii znamię;
Trąbka myśliwska wisiała przez ramię,
Oszyta skórą wileczą, a za pasem,
Sajdak z strzałami obok z kordelasem.
W rękę łuk trzymał, co o pięćset kroków,
Jaskółkę umiał zrzucić z pod obłoków,
I smycz, co grożąc gdy podniósł do góry,
Pies, skomląc tylko, warował z pokory.

XVII.

Łucznik nic złego nie czyniąc dziecięciu,
W silném go jednak zatrzymał ujęciu,
I uspakajał w sposób przyjacielski:
Bo chłopiec widząc strój jego angielski,
Szarpał się strasznie;— a wtém też z kolei,
Młodszy towarzysz, Edward wyszedł z kniei.
„Hop, hop!”— rzekł łucznik;— „patrz, zdobycz
nie marna;
„Lepiej się może opłaci niż sarna.
„Patrz, jak się szarpie! — ręczę bez zawodu,
„Ze to jest dziecię wysokiego rodu.

XVIII.

— „Pewnie że jestem! — chłopiec krzyknął
groźno —

„Bo jestem Buklej, i dziedzic Branksomu.
„Puść mię! — bo będziesz żałował za późno;
„Puść mię, powiadam, lub odwiedź do domu!
„Bo gdy mię więzić chcesz, zbójco bez wstydu,
„Wszyscy Skottowie od Esku do Twidu,
„Szukać mię będą; i tu gdy przybiegą,
„Zaraz cię z twoim i psem i kolegą,
„Mimo tych waszych i strzał i tych łuków,
„Każę powiesić na pastwę dla kruków!” —

XIX.

— „Ho, ho, mój mały! dzięki za chęć twoją!
„Lecz ja tak bardzo wysoko nie kroję.
„Ale gdy wzrośniesz, ho! nasi strażnicy
„Będą co mieli robić na granicy! —
„Tymczasem Lordek niech z nami pójsz raczy,
„Lord Dacre *) rad będzie, gdy ciebie zobaczy. —

*) Czyt. *Dakr.*

„No, cóż Edwardzie! tęgi zuch z mołojca?—
„Nie lada zdobyecz jest syn jego ojca!”

XX.

Rzekł, i nie bacząc na krzyki dziecięce,
Obaj z Edwardem wzięli go pod ręce,
I psa wołając, poszli nazad w knieje.
Lecz próżne były dziecięcia nadzieje,
Usłyszeć tentent pogoni z Branksomu:
Nikt tam nie wiedział, że Baron znikł z domu.
Bo Karzel kończąc złośliwą swawolę,
Ptakiem do zamku powrócił przez pole,
Wziął jego postać i grał jego rolę.—
Ale jak!—ludzie zachodzili w głowy,
Zkąd mu tak nagle tak dzikie narowy!
Na cały zamek wrzeszczał, gdy się bawił,
Swych towarzyszków bił, szarpał, pokrwawił,
Jednego nawet omal nie zadławił.
Starszym się także przykrzył nieskończenie:
Zdarł nową suknię ciotce Magdalenie;
Rycerzom octu namięszal do wina;
Staremu Symball, gdy stał u komina,

Nasypał żaru w ładownicę z prochem,
 Zesię gmach cały wstrzął jednym popłochem.
 Lecz któżby wszystkie złe jego spamiętał?—
 Dość, że myślano, że go czart opętał.

XXI.

Lady od razu poznałaby czary,
 I Karzeł słusznój nie uszedłby kary;
 Ale on wiedział, i ztąd był tak śmiały,
 Że Delorrainem zajęta dzień cały.
 Skoro go bowiem ujrzała na progu,
 Pierwsza myśl była o nieziemskim wrogu,
 Jeśli, choć czytać nie umiał wyrazów,
 Śmiał zajrzeć w xięgę w brew danych rozkazów.
 Lecz fałsz posądzeń uznała widocznie,
 Postrzegłszy w piersiach zalamaną włócznię.

XXII.

Zlekka ją zatem wydobywszy z rany,
 Krew utuliła swými talizmany;
 I ani dłużej postać przy łożu:
 Lecz go przy wiernym zostawiwszy stróżu,

Narzędzie rany wzięwszy tylko z sobą,
Poszła skuteczniej czuwać nad chorobą.
W gmachu, gdzie ludzkie oko nie dościgło,
Z żelazca naprzód zmyła krew zastygłą,
I wiory z drzewca strugając żelazem,
Kładła do wody;— a za każdym razem,
Delorraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie ⁴).
Lady nakoniec wyrzekła, że chory
Będzie zdrów całkiem od pory do pory;
Lecz nie przestała swych sztuk czaruołxięstwa:
Nie chcąc z uwagi spuścić bezpieczeństwa,
Męża tak znanęj wierności i męztwa.

XXIII.

Tak dzień przemiął;— już słońce bez chmury,
Za błękitnawe spuściło się góry,
Szczyt ich malując szkarlatem purpury.
Wieczór był cichy, powietrze łagodne,
Ziemia wesółła i niebo pogodne.
Xiężyc się zwolna wyiskrzył od wschodu,
Wietrzyk orzeźwiał tchem woni i chłodu;

W nieporuszonej wód rzeki kryształe,
Zamek się z brzegu odbijał wspaniale.
Najdzikszy nawet z zbrojnych towarzyszy,
Czuł w sercu urok pogody i ciszy;
Jakże więc Anny czule serce młode,
Błogosławiło ciszę i pogodę,
Gdy sama jedna, na wysokim ganku,
Patrząc po niebie, marząc o kochanku,
Trącała zlekka swojej arfy stróny;
Albo na zachód sząc wzrok zamyślony,
Czekała, zda się, rychło się otworzy,
Miłej kochankom, wschód wieczorniej zorzy!—
— Cóż jój ta gwiazda dobrego wywróży?—

XXIV.

Onaż to, ona?— co nagle tak w zmierzchu,
Na Penchrist-Penu wyiskrza się wierzchu,
I jak kometa w powietrza przezroczy,
Roztacza wstęgi czerwonych warkoczy?—
Nie!— to nie promień kochankowej gwiazdy!
To hasło wojny, to mord i najazdy!—

Arfa z rąk Anny jak z jękiem wypadła,
Gdy chcąc zbiedz na dół, struchlała i zbladła,
Wzrok się jej zaćmił—i mdłość nią owładła.

XXV.

Ledwo straż światło ujrzała promienne,
Z wszystkich wież trąby zabrzmiały wojenne.
I widzieć było, w godowniczéj sali,
Jak się rycerze porwali od stołu!
I słyszeć było, chrzęst, łoskot, szczęk stali,
Gdy wszyscy na dół zbiegali pospołu!—
Wkrąg na dziedzińcu, przy bramach, wzdłuż
szańców,
Wpół w cieniach nocy, wpół w świetle ka-
gańców,
Migają helmy, kolyszą się kity,
Konie parskają i biją kopyty;
Drzewce o drzewce trącają w natłoku,
Jak zmarzłe trzciny w zimowym potoku.

XXVI.

Senesza l *) w środku, z ubielonym włosom,
Prędkim skinieniem, podniesionym głosem,
Daje rozkazy:— a sędziwe lica,
Jaskrawa jasność pochodni oświeca.

- „Na Penchryst-Penie sygnał się pali ³),
„Trzy na Priesthawe;— na koń więc, dalej!
„Na koń za Brankson! **)— Janie z Altonu!
„Śpiesz zbudzić mężów klanu Dżonstonu.
„Do Liddesdal u nie ma potrzeby
„Posyłać gońców; dość jest ażeby
„Ujrzeni sygnał:— któż z Eliotów,
„Któryż z Armstrongów zawsze nie gotów,
„Śpieszyć na pomoc braci swych Skottów?—
„Na koń Todrygu! patrz wzdłuż granicy,
„Czy na swych miejscach stoją strażnicy.—
„Z was gdzie kto może niech się przemyka,
„Byle o wrogu dostać języka!—
„Gilbercie! zapal oba sygnały:

*) *Major Domus.*

**) To było hasło wojenne klanu Skottów.

„Wróg się znać zbliża w sile nie maléj—
„Śpiesz! niech do broui kraj staje cały!”

XXVII.

Rzekł—zamek jedném rozległ się echem:
„Na koń, za Branksom!”—gońcy z pośpiechem
Wpadli na siodła:—każdy w swą stronę,
Pędzą za bramy;—mosty zwodzone
Brzmia jedném echem:—a trąby grają,
A strażę krzyczą, konie chrapają—
Szcęk, loskot, hałas, huk naksztalt gromu,
Zbudził z omdlenia Annę z Branksomu.

XXVIII.

Młody paż rzesko poskoczył na waly,
Z dwóch wież narożnych dwa błysły sygnały.
Z drew suchych wybuch czerwonych płomieni,
Oświecił zamek i niebo rumieni.
Po nad ogniami dym w kłęby kręcony,
Czarny i gęsty, od spodu czerwony,
Wieje z wież obu, jak sztandar podwójny,
Złowrogie godło żaloby i wojny.

I w mgnieniu oka, jak wzrok sięgnie zdala,
Ogień się widać po ogniu zapala;
Na ostrych skalach, na lesistych górach,
Gdzie orle gniazda kołyszą się w chmurach;
Na piramidach grobowych kurhanów ⁶⁾,
Gdzie śpią snąc prochy dawnych kraju panów.
Rzekłbyś na niebie rodzące się gwiazdy:
Každy przeraża, zwiastując najazdy,
A jednak każdy ośmiela i cieszy,
Wróżąc, że bratu brat w pomoc pośpieszy.
Aż po nad Soltrą i Dumpender-Lawem,
Edyburg światłem przeraził się krwawém;
Aż okrzyk zbudził echa Lothianów ⁷⁾:
„Na koń! na odsiecz pogranicznych klanów!”—

XXIX.

W zamku Branksomu do zorzy porannej,
Wściąż, jak z wieczora, trwał gwar nieustanny,
Czułość, i zapal, i trwoga.
Słysząc jak toczą kamienie do bramy,
Widać na wieże jak windują tramy,
By je ztąd spychać na wroga.

Kapelan kazał uderzyć we dzwony.
Dźwięk ich przeciągły, żalobnymi tony,
Jęczy nad lasem i górą;
Zbudzone echem ciągłego rozruchu,
Psy niecierpliwe rwąc się na łańcuchu,
W dziedzińcach wyją ponuro.

XXX.

Lady podziela trudy Seneszala,
Młodszych zachęca i męztwo wychwala;
Z starszymi radzi i słucha wysłańców.
Wrócili wszyscy bez wieści i brańców:
Nikt nie wie pewno, kto, z kąd, gdzie są wrogi,
Jaka ich liczba, ni jaki cel drogi.
Jedni twierdzili, że dziesięć tysięcy;
Drudzy przeciwnie, że to jest nic więcej,
Jak zwykły podjazd rabusiów z Tyndalu,
Po czarny haracz⁸⁾; i że z Liddesdalu,
Sami mieszkańcy wypędzić go mogą.—
Tak między ciągłą nadzieją i trwogą,
Przeszła noc straszna;— i wszyscy we dworze,
Z radością nowe powitali zorze.

Tu śpiewak umilkł;— w ciągu powieści,
Częste przemiany tonu i treści,
Którym podrażał arfy swój brzmieniem,
Znużyły siłę;— z ciężkiem westchnieniem
Wsparł się na arfie,— Wzruszone damy,
Pytały tkliwie, czemu tak samy
Błądzi po świecie?— Nikogoż nie ma,
Coby przytulił starca - pielgrzyma?
Nie maż-li córki, którejby tkliwość,
Słodziła nędzę, wsparła sędziwość?
Nie ma-li syna, coby staranny,
Zapewnił ojcu chleb nie żebrany?—
— Ach! miał był kiedyś!— żal stłumił mowę.
Ku arfie białą pochylił głowę,
I widać było łzy, co po zbladłej
Twarzy, kroplami na pierś mu spadły.
Aż uroczystym tonem boleści,
Tak ciągnął dalej bieg swój powieści,

RONIEC PIEŚNI TRZECIĘJ.

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

O TEWIOCIE! już dziś wzdłuż twych brze-
gów,

Nie ploną hasła bratobójczej wojny;

Pól twych nie wstrząsa cwał zbrojnych sze-
regów,

Echa twych gajów drzemią sen spokojny.

Prócz wierzb twych szmeru i fali mruczenia,

Nic uroczego nie ma ci milczenia,

Twych wzgórz, łąk, łąnów twych plen-
nych;

Jak gdybyś nigdy, prócz fletni pasterskiej,
 Nie słyszał głosu, ni trąby rycerskiej,
 Ni szczęku mieczów wojennych!

II.

Nie tak się dzieje z rzeką życia ludzi:
 Jakkolwiek nurt się jej wije,
 Lzy co ją zmaci, krwi co raz ją zbrudzi,
 Żadna z niej siła nie zmyje.

Im bliżej ujścia swojej wiecznej bramy,
 Tém czarniejszemi pokrywa się plamy,
 Zgryzoty, żalu, lub winy;—

Tyle lat temu, a dotąd tak żywo,
 Pomnę jak wczoraj, tę chwilę straszliwą,
 Gdy poległ syn mój jedyny!

Gdy Hannowerskich muskietów wystrzały,
 W rękę Górali ich broń druzgotały,
 A na ich czele walczył Dundee śmiały — 1)

Czemużem razem nie zginął?—
 Stało się!— poległ godny ojców męztwa,
 Obok z Grahamem, na polu zwycięztwa:
 Obok z nim będzie też sływał!

III.

Na pograniczu w dolinach i górach,
Wzdłuż i wszecz straszna rozbiegła się trwoga;
Po grząskich bagnach, po zamierzchłych bo-
rach,

Lud rzucił domy i krył się od wroga ²⁾.

Na rozkaz Lady, noc całą i rano,

Stada i trzody do zamku spędzano.

Niewiasty z dziećmi szły płacząc, gdy męże

Na ich obronę chwytali oręża.

Z walów Branksomu, widziano jak bury

Dym, tu i ówdzie wzbijał się do góry,

I blask jaskrawy płomienistej łony:—

Znak, że wróg krwawe rozpuścił zagony.

IV.

„Otoż i wieści o nieprzyjacielu!”—

Krzyknął stróż—„widzę zdaleka,

„Jak w brod przez rzekę, Watt Tinnlin

z Liddelu ³⁾,

„Tu, znać przed wrogiem ucieka.

„Nie jest to napaść niesfornej gromady,
 „Gdy jój Watt Tinnlin sam nie mógł dać rady.
 „Stawilbym szyję, że nie to wróg liczny,
 „Lecz że dowodzi sam Lord nadgraniczny.”—

V.

Ledwo domówił, ujrzano na błoniu,
 Watt Tinnlin pieszo szedł obok przykoniu.
 Konik był mały, kosmaty i czarny,
 Lecz z kęp na kępy, przez bagna i tarny,
 Sadził w czwał zręczniejsz od kozy lub sarny.
 Teraz niósł panią z dwojgą małych dzieci:
 Pieszo za niemi szedł służalec kmieci.
 Pani rumianna, czarnobrewa, biała,
 Dumna ze srebrnych błyskotek co miała ⁴⁾,
 Ręką znajomych z uśmiechem witała.
 Lucznik był chudy, wysokiego wzrostu;
 Stała misiurka, ukuta po prostu,
 I tarcz powłoką obwiedziona skórą,
 Składały całą jego broń odporną.
 Na krzyż przez plecy niósł sajdak szeroki,
 I w ręku włócznię, od świeżej posoki

Znać zrumienioną; a zaś luk śmiertelny,
Jeżyl się w rękę połowicy dzielnej.

VI.

Tinnlin zdał sprawę o nieprzyjacielu:—
„Wiliam Howard i Lord Dacre potężny⁵⁾,
„Idą tu sami na czele dzid wielu,
„Prowadząc w pomoc Niemców huf zaciężny⁶⁾,
„Co stał w Askerten na zimowych leżach,
„Najwywzięwszy w mordach i łupieżach.
„Wczoraj przez Liddel w brod przeszli o
„zmroku,
„I dom mój naprzód spaliła dzicz wściekła.
„Czart niech ich za to spieczę nadnie piekła!—
„Nie był spalony już przeszło od roku!
„Przy blasku jego iskrzystej pożogi,
„Przez trzęskie bagna, przez las i rozłogi,
„Uchodząc z dziećmi szukałem mój drogi.
„I ledwom uszedł od pogoni krwawej:
„Fergus z Grahamu i Jan z Akeszawy,
„Tuż tuż w ślad za mną ścigali noc całą.
„Cierpiałem długo, lecz jak rozedniało,

„Wzięli za swoje;— w Priest-Scrogg, na
 „Konie ich naprzód postrzelałem w blocie.
 „Potém Fergusu, gdy uciekał z siodłem,
 „Dopadwszy, dzidą na wylot przebodłem.
 „Żal mi jest nieco biédnej jego wdowy:—
 „Lecz już się stało!—spór nasz był nie nowy—
 „Ostatnich zapust zabrał moje krowy.”—

VII.

Wkrótce stwierdziły Tinnlina nowiny,
 Co tchu z stron różnych czaty wracające;
 A wszystkie głoszą, że za trzy godziny,
 Stanie pod zamkiem wrogów trzy tysiące.
 Lecz i zamkowi nie braknie obrońców!—
 Na blask sygnałów, na wezwanie gońców,
 Z gajów Ettriku, z nad Ailu brzegów,
 Wzdłuż Tewiotu brzmi tentent szeregów.
 Wszędzie mężowie siodlają swe konie,
 Wszędzie niewiasty podają im bronie;
 Bo każdy śpieszy ku odsieczy bratniej,
 Bo biada temu, kto przyjdzie ostatni;

Szyderstwo dziewic i pogarda braci,
Równie lenistwo jak tchórstwo zapłaci.—

VIII.

Przedę wszystkimi, bohater klanu,
Z gór i zamierzchłych Gamesklu jarów,
Zastęp swych włóczni, Jan z Tirlestanu⁷⁾,
Przywiódł pod cieniem świetnych sztandarów.
Na tarczy jego, zaszczyt i chluba,
Lśni herb królewski:—Króla Jakuba
Dar to pamiętny;—gdy nikt z wassali,
Z obozującym nad brzegiem Fali,
Nikt, oprócz niego, nie chciał iść dalej,

Na wojnę z eichych namiotów.
Odtąd na hełmie swym zamiast kity,
Nosi pęk włóczni laurem obwity;
Odtąd na tarczy napis wyryty:

„Jam gotów, zawsze jam gotów!”—

IX.

Sędziwy starzec z okiem sokolém,
Zbrojno na koniu huf przywiódł bitny.

Na tarczy jego ze złotem polem,
Świecą Trzy Gwiazdy i Nów błękitny.
W krąg Oakwudu, i Owru wieży,
Ciagną się jego pola przestronne;
Z po nad Bortwiku skalnych wybrzeży,
Jeżą się jego zamki obronne.
Tam, w lesistego głębiach parowu,
Rażąc powietrze echem swych ryków,
Pasą się trzody—nie jego chowu,
Lecz łup to wzięty z wrogów Anglików.—
Wódz napastniczy! jego zabawa:
Ranna potyczka, nočna wyprawa!
Ani go wdzięki Róży Yarrowu,
Zdołały z młodu wstrzymać od boju;
Ani wiek syty prać i obłowu,
Mógł mu dać uczuć słodycz pokoju.
Choć z pod szyszaku włos świeci biały,
Jak śnieg na skalnym szczycie Benwenu,
Sam pięciu synów na polu chwały
Uczy przykładem;—a gdzież tak śmiały,
Gdzie tak potężny, jak Lord z Hardenu? ⁸).

X.

Skottów z Eskdału lud wojowniczy,

Z gór Todshaw-billu przybieżał społem;

I mężny Hedschaw, wódz nadstrażniczy,

I chyży Whistlade, zwany sokolem.

Lecz któż wyliczy wszystkich, co śmieli,

Od Yarrow-Klegu, do Czester-Glenu,

Od Hindhaw-Sweru, do Wudhouselic,

Szli, mając hasłem: „błoń Bellendenu?”⁹⁾

I nigdy lepszych włóczni i mieczy,

I nigdy śmielszych serc i prawicy,

Ni ku napaści, ni ku odsieczy,

Nie było widać na téj granicy.

I serce Lady wzniosło się w pychę,

Patrząc na dzielne konie i męże:

Że porzuciwszy zakłęcia ciche,

Wolala w ziemskie ufać oręż.

I każe przywieść syna-dziedzica,

By wcześniej uczeń Marsowej szkoły,

Poznał przyjaciół swego rodzica,

I nawykł walczyć z nieprzyjaciół.

„Widziałam, rzecze, jak krucze gniazda,
 „Zbijał strzałami z wierzchołków skały;
 „Na piersiach wrogów czerwona gwiazda,
 „Pewniejszym celem będzie dla strzały.
 „Ty go, Whistladzie, wesprzyj twą dłońią,
 „Kędy dziecinne siły nie starczą:
 „Ty go ucz władać ojcowską bronią,
 „I w razie zasłoń ojcowską tarczą!”—

XI.

Latwo jest zgadnąć, że świadom swęj zdrady,
 Karzeł nie życzył iść przed oczy Lady.
 Udał więc trwogę i fochy dziecięce:
 Tupał nogami, załamywał ręce,
 Wrzeszczał i jęczał, i łez lał potoki.
 Aż przerażone piastunki i świadki,
 Z trwogą oznajmić pobiegły do matki,
 Że nań ktoś widać złe rzucił uroki.—
 Lady niemilęj wysłuchawszy wieści,
 Splonęła ogniem wstydu i boleści:

„Precz z nim! — krzyknęła — precz z zamku
 Branksomu,
 „Nimby klan stał się świadkiem mego sromu!
 „W zamku Bukliju, nad brzegiem Rangl-
 hornu,
 „Tam niech nieczemuik żyje po klasztoru.
 „Ty, Watt Tinnlinie, bądź mu przewo-
 dnikiem,
 „Ni się daj wzruszyć prośbami ni krzykiem!
 „Bóg mię snać skarał w surowości swojej,
 „Że się nieczemnik narodził z krwi mojej.”

XII.

Stokroć Watt Tinnlin przeklinałswądolę,
 Gdy przyszło na koń brać wściekle pacholę.
 Posadził jednak;— lecz koń przerażony,
 Czując na sobie szatańskie straszdyło,
 Rżał, parskał, wierzgał, leciał jak szalony,
 Nic niepomogły ni bicz ni wędzidło.
 Aż gdy przez pole przemknąwszy w zawody,
 Trafił pod lasem na żywy zdroj wody,

Pierzchnęły czary;— i paż w oka mgnieniu,
Zmienił się w potwór, jak obraz w marzeniu.
Zeskoczył z siodła, i kręcąc ramiony,
Wrzasnął: „stracony! stracony! stracony!”
Lecz jak bądź szybko ucickał po brzegu,
Strzała Tinnlina dościgła go w biegu,
I aż po pióra zagrzęzła we grzbiecie.
Nie mógł on umrzeć: lecz żyjąc na świecie,
Czuł ból po ludzku;— więc bieżąc po niwie,
Na czém świat stoi wrzeszczał przeraźliwie.
Łucznik, jak gdyby rażony od gromu,
Gnał wstecz co siły do zamku Branksomu

XIII.

I już był stanął na wierzchołku góry,
Zkąd widać u stóp i rzekę i mury,
Gdy nagle z głębi lesistych rozłogów,
Usłyszał hasła zbliżania się wrogów,
Dźwięk kobz, piszczałek, i wojennych rogów,
Zmieszany z bębnow łośkotem, i czasem
Ze rżeniem koni i ludzi hałasem.

I wnet nad niższe zarośle wzniesione,
Powiały z wiatrem chorągwie czerwone;
I widać było, gdzie gąszcz rzedniejąca,
Jak broń i zbroje błyskały od słońca.

XIV.

Przednia straż naprzód, na rączych koniach,
Rozpierzchłym szykiem hasa po błoniach,
Sledząc zasadzek i wrogów;
Za nią Kendalscy dzielni łucznicy,
Cali w zieleni, z łukiem w prawicy,
Mierzą krok z taktem swych rogów.
Tuż po za niemi, rzędem jak ściana,
We zbrojach Dakra jazda dobrana,
Szła z krzyżowemi sztandary:
Co niegdyś z Akry zdobytéj szanieów,
Wionęły grozą w hordy pohanieów,
Męztwem w rycerzy swéj wiary.
Zbroje na piersiach krzyżem znaczone,
Na krzyż przez piersi szarfy czerwone,
Twarz za kratami przyłbicy;

A przed ich szykiem, gronem Minstrele,
 Z kobzami w rękę, grają na czele:
 „Lord Dacre, stróż naszej granicy.” *)

XV.

Po za Angielską jazdą i piechotą,
 Szedł Niemców łufiec zaciężny;
 Konrad z Wolfsteinu, zuchwały i męzny,
 Krew ich frymarczył za złoto.
 Tłuszcza bez prawa, bez kraju i domu,
 Niedbała o nic, nie karna nikomu,
 Na znak pierwszego co lepiej zapłaci,
 Gotowa przelać krew wroga lub braci ¹⁰⁾.
 Broń ich też inna niż noszą Anglicy:
 W górę z ramienia tkwi rura rusznicy;
 Z bawolej skóry marszczone kaftany,
 Sciąga w pół ciała pas klamrą spinany;
 Z lewego boku, zwieszona z pod pachy,
 Wisi u szarfy ładownica z blachy;

*) Słowa pieśni narodowej Szkockiej.

Prawe kolano jest nagie, ażeby
Łatwiej na mury iść w razie potrzeby;
A wszyscy razem, w zwartym idąc szyku,
Śpiewali pieśni w swym twardym języku.

XVI.

Lecz zgiełk się wzmacza — i głośniej i
śmieliej,
Brzmia trąby, surmy, i kobzy Minstreli,
Gdy na kraj pola, okutą we zbroje,
Lord Howard z lasu wywiódł jazdę swoją:
Straż tylną w szyku, lecz pierwszą na boje.
Nie jeden młody ochotnik bez trwogi,
Szedł z nią, by złote zasłużyć ostrogi,
I na ognistym harcując rumaku,
Godłem swój Damy wstrząsał na szyszaku.
Szli dwaj za dwóma, aż nad lasu brzegiem,
Długim, podwójnym stanęli szeregiem,
I „święty Jerzy za Anglią!” w koło,
Okrzyk z ust wszystkich rozległ się wesolo.

XVII.

Oczy Anglików, jak strzały, łakomie,
Utkwiły wszystkie w warownym Branksomie,
Co tak już blisko, że słuch przenikliwy
Dosłyszy każde brząknięcie cięciwy.
Na wałach wkoło jeżą się błyszczące,
Ostrza halabard, i włóczni tysiące;
Na wieżach stoją mosiężne haubice,
Gotowe ciskać grom i błyskawice;
Słupem z nadbramnych baszt, dym i popioły,
Wieją z pod kotłów smażącej się smoły:
Deszcz to ognisty na nieprzyjacioły —
A od czerwonych promieni ogniska,
Śród kłębów dymu stał krwawo polyska.
Anglicy patrzą:— wtém most się odwała,
I z bram wyjeżdża rycerz, w którym zdala
Pozuali wszyscy, starca Seneszała.

XVIII.

W pełnej był zbroi, prócz helmu, a biała
Broda poważnie na pierś mu spływała.

Nie zgięty wiekiem, prosto siedział w łęku:
Wodze rumaka w lewym ściąga rękę,
I coraz bodźcem lechtając po bokach,
Zmusza go zwolna iść w ciągłych podskokach.
Na znak rozejmu, w prawicy nad głową,
Trzymał do góry gałązkę wierzbową;
A za nim giermek, w bawolim kirysie,
Niósł rękawicę zwieszoną na spisie ¹¹).
Skoro się zbliżył, wnet Angielscy wodze,
Lord Dacre i Howard, byspotkać na drodze,
Wyszli na czoło wojsk swoich, ciekawi,
Co im ów goniec z Branksomu objawi.

XIX.

„Lordowie!”— starzec rzekł— „Lady z Brank-
somu,
„Pyta was przez mię: przez i przeciw komu,
„Gwałcąc przymierze, co wiąże dwa kraje,
„Wiedziecie Niemców najemnicze zgraje,
„Kendalskie łuki i Gilslandzkie włócznie?—
„Lady wam radzi cofnąć się niezwłocznie;

„A jeśli dobra nie pomoże rada,
 „Przez usta moje to wam zapowiada:
 „Ze niechaj tylko tłum łupu łakomy,
 „Spali nam w polu choć jedno dźbło słomy;
 „Niech tylko hałas, lub szczełk broni waszłej,
 „Jedną jaskółkę z wież naszych wystraszy;
 „Jako Bóg żywy! na zbojeckiej bandzie,
 „Ogniem i mieczem pomścim w Kumberlandzie!”

XX.

Dacze z gniewu ledwo dosłuchać go zdołał,
 Lecz spokojniejszy Lord Howard zawołał:
 „Cny Seneszalu! proś twój Pani samój,
 „Niech raczy zstąpić do zewnętrznej bramy,
 „Tam jej przez usta Herolda powiemy,
 „Z czémśmy przyszli, i z czém wrócić chcemy.”—
 Seneszal wrócił, i wnet z Lady samą,
 Stał na murze, nad zewnętrzną bramą;
 A w kolo klauu przedniejsi wodzowie,
 Chciwi usłyszeć co Herold opowie.—
 W barwach Howarda, zbliżył się przez pole,
 Wiodąc za rękę nadobne pachole:—

O! widok matce straszniejszy od gromu!
Poznała syna, dziedzica Branksonu.—
Herold ją grzecznym witając uklonem,
Wskazał na dziecię, i rzekł śmiałym tonem.

XXI.

„Lord Dacre i Howard, przeciw pięknej damie,
„Z boleścią serca muszą zbroić ramię;
„Ale im dłużej znosić nie przystoi,
„Widząc jak krewni i lennicy twoi,
„Wzdłuż granic naszych puszczając zagony,
„Lud nasz mordują i łupieżą plony;
„A ty, o Pani! z ujmą czei imienia,
„Zbójcom w twym zamku udzielasz schronienia.
„Żądają zatem, by im był wydany,
„Rycerz, Wiljamek Delorrainem zwany,
„Na słuszną karę, jaka się domierza,
„Na gwałcicielach wspólnego przymierza.
„Niedawno bowiem, jak o tém wie każdy,
„Złupił Stapleton na czele swęj jazdy,
„I depcąc Boskie i rycerskie prawa,
„Sam zabił brata Ryszarda Musgrawa.

„Gdy więc, jak widać, kobięcie i wdowie,
„Trudno powściągnąć to złe; Milordowie,
„Chcą abyś w pomoc w zamku twego progi,
„Przyjęła dwieście angielskiej załogi;
„Inaczey szturmem wzięwszy jego wały,
„Pługiem zaorzą te miejsca gdzie stały:
„A syn twój, Pani, w prostych paziów rzędzie,
„Na dwór Londyński odesłany będzie.”

XXII.

Umilkł — lecz chłopiec lejąc lzy dziecięce,
W górę ku matce wznosił drobne swe ręce,
I po imieniu zwał wiernych lenników,
By go wyrwali z przemocy Anglików.
Serce się Lady ścisnęło boleścią,
I oko matki zaszło Izą niewieścią.
Bystro po wodzach spójrzała w okolo:
Každy stał smutny, opuściwszy czoło.
A więc zamknawszy na dnie mężczyj duszy,
Zal swój, co lkanie chciał ulżyć katuszy,
Nieporuszona na pozór i śmiała,
Wyniosłym głosem tę odpowiedź dała.

XXIII.

„Idź, powiedz Panom twym, co tak wspaniali,
„Wojnę niewiastom i dzieciom wydali;
„Ze się Delorraine, cel ich nienawiści,
„Albo przysięgą z zarzutów oczyści ¹²),
„Lub na sąd Boski, zgodnie z ludzkim prawem,
„Stanie sam na sam do walki z Musgrawem.
„Ze krwi i z męztwa Delorraine z pierwszemi
„Równać się może Lordami waszemi;
„Z ręki Duglasa wziął rycerstwa znamię,
„Gdy krew angielska wzbierała w Ankracie ¹³);
„I sam Dacre, gdyby nie rącość sokola
„Konia, co wtedy unosił go z pola,
„Dacre samby widział, czém w dniu tym bez
trwogi,
„Delorraine złote okupił ostrogi.
„Co do młodego dziedzica Branksomu:
„Bóg niech go strzeże!— lecz ja w jego domu,
„Ja, póki żyję, nie dopuszczę sromu,
„By przyjaciela wydać w ręce wrogów,
„Lub wrogom naszym dać wstęp do mych pro
gów.

„Idź więc i powiedz dumnym twoim Panom,
 „Że gdy się dobrym nie cofną sposobem,
 „Trąby wnet nasze zabrzmia śmierć ich klanom,
 „A ten nasz przekop stanie się ich grobem.

XXIV.

Rzeka, i z dumą spojrzęła dookoła:—
 Tirlestanowi gniew iskrzy się z czoła,
 Walter z Hardenu zatrafił:— i razem,
 Cały gmach nagle zabrzączał żelazem.
 Z wież sto chorągwi rozwiło się w górze,
 Tysiące mieczów błysnęło na murze,
 I okrzyk w niebo wzbił się naksztalt gromu:
 „Święta Maryo! za Lorda Branksomu!” —
 Hasło angielskie ozwało się echem:
 Jazda w tok włócznie złożyła z pośpiechem,
 Lucznicy z trzaskiem cięciwy napięli,
 Zabrzmiały trąby i kobzy Minstreli,

Pieśń, hasło szturm i mordów:—

Wtém — nim ostatni znak dano do boju,

Ujrzano gońca:— w kurzawie i znoju,

Przypadł — i mówi do Lordów.

XXV.

„Przebóg! Lordowie, o! biada wam, biada!
„Pochód wasz wrogom odkryła snąc zdrada.
„Co to czynicie pod temi murami,
„Twierdza przed wami, a wojna za wami?—
„W nieprzyjaciolach już się radość nieci,
„Że Lew angielski dał się złowić w sieci.
„Zgór Ruberslawu, pod dzielnym Duglasem,
„Równina włóczni pokryła się lasem;
„Nieprzeliczony tłum Lorda z Maxwellu,
„Tył wam zabiera od brzegów Liddelu.
„Z Dżedwudu^{*)}, Esku, i Tewiotdału,
„Angus zastępy prowadzi,
„Z całego Mersu, i z niw Lauderdaleu,
„Home ochotników gromadzi.
„Ja jestem Anglik, wygnaniec z méj ziemi,
„Ale Anglicy są braćmi mojémi;
„Ciche schronienie mam śród Liddesdału,
„Lecz klęsk ojczyzny nie zniosę bez żalu;
„Co tchu więc stało pędziłem tu w nocy,
„By wam oznajmić o wrogów przemoey.”—

*) Jedwood.

XXX
XXVI.

— „Niech przyjdą, — krzyknął Dacre — „na
zgubę swoją!

„Znamię to ojca mego i moje,
„Co niegdyś godłem zwyciężkiej nadziei,
„Wiało z wiatrami na brzegach Judei,
„Wnet z wież Branksonskich wzdymając się
groźnie,
„Urągać będzie z przybyłych zapożno! —
„Łuczniacy! naprzód! — zdwójcie krok i męstwo!
„Kto Anglik, za mną! — śmierć albo zwycięz-
two!”

XXVII.

— „Stój! — rzekł mu Howard — „przyjm
radę przyjaźni,
„Ani sądz proszę że mówię z bojaźni;
„Bo i któż widział by kiedy Lew Białą *),
„Zadrzał przed wrogiem, lub zszedł z pola
chwaly?

*) Herb Howardów.

„Ale tak na szwank stawić kwiat rycerstwa,
„Naprzeciw siłom całego królestwa;
„Chcieć w trzy tysiące zbić dziesięć tysięcy:
„Czyn taki byłby szaleństwem, nie więcej.
„Przetoż me zdanie jest przyjąć układy,
„Nim wieść odsieczy wzmoże duch osady.
„Musgraw swe spory niech kończy orężem:
„Jeśli zwycięży, my przezeń zwyciężem;
„Gdy się zaś szczęście odwróci od niego,
„Będzie to strata — lecz tylko jednego.
„Z resztą spokojnie, bez szkody i sromu,
„Jakośmy przyszli, wrócimy do domu.”—

XXVIII.

Nie w smak Dakrowi szły takie wyrazy,
Wstrzymał się jednak, i zmienił rozkazy.
Ale już odtąd, dawni przyjaciele,
Nie stali razem na wojsk swoich czele;
I mówią ludzie, że ten powód gniewu,
Był potem źródłem bratniej krwi rozlewu.

XXIX.

Herold na nowo zbliżył się pod wały,
I dźwięki trąby znów wodzów przyzywały.
Herold z obrzędem rycerskiego prawa,
Czynił wyzwanie w imieniu Musgrawa;
U stóp ich zbrojną rękawicę złożył,
I w takich słowach rzecz swoją wyłożył:
„Gdy Musgra w palmę zwycięstwa odbierze,
„W zakładzie u nas zostanie Lord młody;
„A za doznane gwałty i łupieże,
„Klan wasz nam wróci ubytki i szkody.
„Jeśliż Delorraine Musgrawa pokona,
„Puścimy wolno dziedzica Brauksomu;
„A w każdym razie, ta i owa strona,
„Nie szkodząc drugiej, ani uszkodzona,
„Lud swój wojenny rozpuści do domu.”—

XXX.

Nikt z wodzów blizkich posilków nie świadom,
Każdy więc w sercu był rad tym układom.
I próżno Lady dwuznaczniemi słowy,
Chciała przewłóczyć lub zerwać umowy;

Bojąc się wydać z wiedzą tajnych rzeczy,
I sztuki wyższej nad rozum czlowieczny,
Przez którą miała wieść pewnej odsieczy:
Przystala w końcu, że nazajutrz rano,
W polu szrankami plac oznaczyć miano,
Gdzie z Delorrainem Musgraw przed wieczorem,
Stoczą bój pieszo, z szablą i toporem.

XXXI.

Wiem, że niejedni Minstrele bajali,
Iż się bój taki, we zbrojach ze stali,
W szrankach odbywać zwykł konno:
Z kopią w toku, w całym pędzie koni,
I z mieczem w zapas, gdyby włócznie w dłoni,
Pryśły o tarczę ochronną.
Leez mistrz mój w pieśniach, — on lepiej to wie-
dział ¹⁴),
I jak wam mówię, tak mnie opowiedział
Wszystkie tej walki obrzędy;
On, co tak prawa rycerskie Dułasów ¹⁵),
I tak znał dzieje najdawniejszych czasów,
Jakby sam zawsze był wszędy.

To też nie ścierpiał by żart czy zuchwałość,
Falsz pieśniom jego lub niedoskonałość

Zarzucać śmiały przed światem;

I gdy raz wspólnie spełniali kielichy,
Za taki zarzut, w gniewie swojej pychy,

Wszczął spór z Reullem współbratem.

Nad Tewiotem, w samotnej ustroni,

Spokojne echa zbudził szczęk ich broni,

I Reull poległ w złą chwilę.

Mistrz mój, gdy ostygł gniew co go zaślepił,

Polany Izami krzew glogu zaszczepił,

Na przeciwnika mogile.

XXXII.

Mamże wspominać, pod jak krwawym ciosem,

Legł sam, mistrz pieśni, z ubielonym włosem,

Jak osądzili go ludzie?—

Próżno głos jeden współziomków boleści,

I Ouse namskich dziewic płacz niewieści,

Błagały za nim w Dżedwudzie.

Umarł!— uczniowie jego po jednym,

Płacząc tu po nim, już poszli ku niemu;

Ja tylko jeszcze, starzec nad mogiłą,
Stoję i płacę, wspomniawszy co było;
I że już ucho moje nie usłyszy,
Zajrzanych nieraz pieśni towarzyszy;—
Bo zawiść moja zgasła razem z niemi,
A żal mi tylko został na tój ziemi.

Umilkł — i znowu łza błysła w oku,
Którą wnet skrycie otarł na boku.
Lecz Xiężna uczuć przenikła skrytość:
I na wpół szecerze, na wpół przez litość,
Ona i damy, co go słuchały,
Jedna przed drugą pieśń uwielbiały.

Xiężna się zdała dziwem przejęta,
Że tyle rzeczy wić i pamięta,
O rodach, co już dawno wymarły,
O czynach, co się w dziejach zatarły;
O zbrojnych zamkach, gdzie las dziś wzrasta,
Albo o lasach, gdzie teraz miasta;
O zapomnianych tyłu zwyczajach,
I tyłu mężach, w obu tych krajach,

Co je na swoich dźwigali siłach,
 A tyle wieków śpią już w mogiłach,
 Że już od wieków, zwodnicza chwała,
 Imion ich nawet pozapomniała,
 I na skroń młodszych dała czcicieli,
 Wieniec, za który krew swą przeleli.
 Nie jest-że dziwną pieśń, co tak budzi
 Z grobu przeszłości, czasy i ludzi?

Wieszcz się uśmiechnął:— bo gdzież pochwała
 W uchu poety próżno zabrzmiała?
 Ród prosto-duszny! cel ich i pycha,
 Czyjś krótki uśmiech, czyjaś łza ciecha!
 Temu z nich każdy, zapal młodzieńca,
 Temu swe męskie siły poświęca;
 I gdy wiek nawet oziębi ducha,
 Jeszcze pochwała iskrę rozdmucha,
 I wyobraźnia, jak zgonu bliska
 Lampa, raz jeszcze koleń zabłyska.

Wieszcz się uśmiechnął, i tak z uśmiechem
 Śpiewał, wtórując cichém strón echem.

RONIEC PIEŚNI CZWARTÉJ.

PIEŚŃ PIĄTA.

I.

NIE zwijcie płonném marzeniem Minstrela,
Jeśli wam powië, że po zgonie wieszczą,
Natura płacze swojego czciciela,
I żal swój po nim widomie obwieszczą.
Że mroczne lasy i skaliste góry,
Z głębi swych pieczar wznoszą jęk ponury;
Że w kir obłoków stroją się niebiosy,
Że kwiaty nad nim sączą lzy swój rosy;
Że wiatr po lubych gajach jego wzdycha,
A szelest liści wtóruje mu scicha;

Albo że woda wezbrana w strumieniach,
Jak gdyby lkała, brzęczy po kamieniach.

II.

Nie by w istocie, po śmierci człowieczeń,
Smucić się mogły nieżyjące rzeczy:
Lecz że wiatr, woda, las, przepaść i góra,
Niebo i ziemia, i cała natura,
Są echem żalu tych, co zapomniani
Na ziemi, w pieśniach żyli jeszcze dla niej,
A z śmiercią Barda, ich pamięć u ludzi
Kona raz drugi, i już się nie wzbudzi.—
Tkliwej dziewicy cień, która boleje
Że czystych uczuć jój zaginę dzieje,
Na grób śpiewaka, i z kwiatów ich wonie,
I świeżą rosę westchnieniem owionie.
Duch wojownika, widząc kres swój chwaly,
Którą rozumiał że wieki czcic miały,
Ze wstydu w czarnych zawiwszy się chmurach,
Jęczy z wiatrami po lasach i górach.
Feudalny mocarz, poznając jak licha,
Jak marna była potęga i pycha,

Dla której kraje zamieniał w pustynie,
 A której z Bardem ślad nawet zaginie:
 Wyje z wściekłości po przepaściach ziemi,
 I wody w źródłach wzdyma łzami swemi.
 A wszyscy w Barda lutni oniemiałej,
 Płaczą swęj własnej pamięci i chwaly.

III.

Ledwo co hasło cofniono bojowe,
 I obie strony stwierdziły umowę,
 Gdy z wież Branksomu, z Tewiotu brzegów,
 Ujrzano przednią straż nowych szeregów.
 Kurz tumanami kłębił się po błoni,
 I słyhać było głuchy tentent koui;
 Ostrza sztandarów i włóczni tysiąca,
 Jak gwiazdy w górze błyskały od słońca;
 A rozwinięte chorągwie znaczyły,
 Gdzie który z wodzów, i jakie wiódł sily.

IV.

Cóż nada klany zwać po imieniu,
 Z jakich szły grodów, gór albo lasów?

Dość że na przedniej straży znamieniu
 Jaśniało Krwawe Serce Duglasów ¹⁾;
 Że w środku Siedem Lanc z Wedder-
 burny ²⁾,
 Spinało siedem orłów-dziauetów;
 Że odwodowy hufiec poczwórny,
 Wiódł Swinton, pogrom Plantagenetów! ³⁾
 Lecz któż wyliczy wszystkich rycerzy,
 Imie ich klanu, godło sztandaru:
 Których z niw Mersu, z Twidu wybrzeży,
 Wiódł młody Hepburn, i Home z Dun-
 baru ⁴⁾?
 Tłum różno-barwy szedł różnym szykiem,
 I z gór ujrawszy wieże Branksomu,
 Zatrząsł powietrze jednym okrzykiem:
 „Home! Home! za Branksom! na przód Lord
 Homu!”

V.

Z zamku tłum gońców, giermków i rycerzy,
 Na dzielnych koniach, w godowej odzieży,
 Czwałem przebiega równinę;

Klanom za pomoc dziękować uprzejmie,
Wodzom oznajmić o zaszyłym rozejmie,
I ofiarować gościnę.

Ale chcąc ucześć wodzów przyjacielskich,
Nie zapomniano i Lordów angielskich:

Seneszał, w obrzędnym stroju,
Staął przed nimi, i w imieniu Lady,
Wzywa, by chętnym podziałem biesiady,
Stwierdzili układ pokoju.

Lord Howard, który, jak w sztuce szermier-
skiej,

Nie miał równego w grzeczności rycerskiej,
Przyjął gościnność; lecz Dacre ku ochocie
Nie skory, wołał pozostać w namiocie.

VI.

Terazbyś, Xiężno, spytać może rada,
Jak się przeciwne dwa wojska spotkały?
Myśląc zapewne, że trud był nie lada,
Utrzymać pokój zaledwo nastaly,
Gdy wojsko z wojskiem, na tej samej błoni,
Zawziętość w sercu, a broń mają w dłoni.—

Z mlekiem wyszana dziedziczna nienawiść,
Wzajemne krzywdy, i sąsiedzka zawiść,
 Wszystko ich dzieli przez wieki;
Lecz się w téj chwili, układów świadomi,
Schodzą, witają, jak dobrzy znajomi,
 Zszedłszy się w ziemi dalekiej.
Z uprzejmą twarzą, z rozjaśnioném czołem,
W krąg na murawie zasiadają spolem,
 W ufności, w zgodzie braterskiej;
Z rąk do rąk krąży napełniona faszka,
Jeden drugiego woła i zaprasza
 Na podział uczty żołnierskiej.
Tam dwaj gdy wzajem podnieśli przyłbice,
Sąsiad sąsiada poznał o granicę,
 Smieją się, podają dłonie;
Młodzież gra w piłkę z palantem, lub w kości ⁵),
A wszędzie wrzawa i gwar wesoleści
 Napełnia lasy i błonie.

VII.

A jednak wiedzcie, że gdyby w téj chwili,
Trąby do boju znak dały:

Z tych samych którzy jak bracia bawili,
Co razem z sobą igrali i pili,
Wrogiby wzajem powstały.
Wesołe echa po nad Tewiotem,
Nagleby zbrojnym zabrzmiały łoskotem,
I chorem jęków i krzyków;
A sztylet, który w prawicy bezbrojnej,
Pomagał krajać na uczenie spokojnej,
Sam pilby krew biesiadników.—
Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów,
Że nie był dziwny nikomu ⁶⁾.
Tą razą jednak, spokojnie i zgodnie
Przeszedł dzień cały, i słońce pogodnie
Zaszło nad zamkiem Branksomu.

VIII.

Mrok nigdzie milęj nie przerwał zabawy:
I wkrótce słupy światłości jaskrawej,
Z sal biesiadniczych, przez okna zamkowe,
Sięgając rzeki, padły na dąbrowę.

I słychać w zamku, jak coraz weselėj,
Brzmi gwar biesiady i pieśni Minstreli,
Którym, jak gdyby przeciąglemi echy,
Wtórują z zewnątrz obozowe śmiechy,
Żołnierskie śpiewy, lub wybuch hałasów,
Na wiwat imion: **D a k r ó w** lub **D u g l a s ó w**.

IX.

Ale im ciemniej, tēm ciszej i ciszej
Brzmi ruch i gwary;— aż całkiem ustały.
Z wałów Branksomu nic ucho nie słyszy,
Prócz szmeru rzeki, gdy pluska o skały.
I na równinie milezenie dokóła:
Prócz że gdzie niegdzie straż hasło zawoła;
Prócz że z tchem wiatru, z dalekiego boru,
Kiedy niekiedy zabrzmie szcęk toporu;
Gdzie robotnicy, wysłani z wieczoru,
Całą noc drzewo sposobią do szranek,
By stanąć mogły na jutrzejszy ranek.

X.

Anna pomimo gromiący wzrok Lady,
Powstawszy wcześniej od stołu biesiady,
Odeszła do swych pokoi;
Ani widziała, ile tkliwych oczu,
I ile westchnień tajonych w uboczu,
Szło za nią na próg podwoi.
Nie jeden bowiem sprzymierzeniec młody,
W sercu jej słodkiej pożądał nagrody,
Za wierną przyjaźń dla domu;
Nie świadom o tym, co jak w myślach dzien-
nych,
Sam tylko teraz w jej marzeniach sennych,
Zajmował Annę z Branksumu.
Marzenia były ciężkie i zwiłane:
Więc uprzedzając świtanie rumiane,
Wstała, szukając im przerwy.
Z tyluset którzy tu wczoraj zasnęli,
I z przyjacieli i z nieprzyjacieli,
Najlepsza, wstała najpiérwój.

XI.

Wstała, i patrzy na dziedziniec próżny,
Który zalegał cień wieży narożnej,

I na dalekie rozłogi.

Wszystko w śnie twardym i ciszy ponurój,
Gmach i obozy:— a wtém się o mury

Odbił brzęk zbrojnej ostrogi.

JEZUS MARYA! senże to czy jawa?—

Oddech jój w ustach stłumiła obawa,

I serce w piersiach ustało.

To on! Lord Kranston! jak gdyby w swym
domu,

Stąpa sam jeden w dziedzińcach Branksonu,

Stąpa spokojnie i śmiało!—

Mogłaż go duma lub ufność tak złudzić?

Gdy doś jednemu paziowi się zbudzić,

Doś by straż słowo wyrzekła:

Za wszystkie perły Królowej Maryjój,

Za wszystkie droższe od pereł, ach! lzy jój,

Śmierćby się jego nie zwlekła.

XII.

Lecz Kranston pewien był swoich zamiarów:
Karzeł albowiem nauczył go czarów,

Jak przybrać na się kształt cudzy;

I gdy przechodził przez bramę Branksomu,
Znanego wszystkim przyjaciela domu,

Widział w nim strażnik i słudzy.

Ale jakiegoż potęgą uroku

Zaćmi przenikłość w kochającym oku,

Przecucie w duszy młodzieńczej?

Anna poznała — lecz drżąca i blada,

Nie wie co czynić; — i nim przyszła rada,

Lord Kranston u nóg jój kłęczy.

XIII.

Nie raz myślałem, jaki cel prawdziwy,

Mógł mieć w istocie ów Karzeł złośliwy,

Gdy to ułatwiał spotkanie? —

Miłość szczęśliwa, a czysta zarazem,

Nazbyt jest nieba na ziemi obrazem,

By znaleźć pomoc w szatanie.

Wpadam więc zawsze na ten domysł, czyli
Nie myślał raczej, że w uniesień chwili,

Namiętność popchnie do grzechu;

A wtedy widząc jej lzy i sromotę,

I jego rozpacz, i żal, i zgryzotę,

Miałby dość przyczyn do śmiechu.

Lecz podle duchy pojąć nie są w stanic,

Co jest prawdziwe, szlachetne kochanie;

Drogi dar niebios, który przed innemi,

Bóg zesłał ludziom na osłodę ziemi.

Nie jest to wietrzny ogień wyobraźni,

Co póty gore, dopóki się drażni;

Nie z ziemskiej żądzy swój mocy nabiera,

Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.

Lecz jest to związek ducha z duchem, który,

Spaja się tajnym ogniwem natury,

I łączy węzłem nie dzielnej jedności,

Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczno-

ści!—

— Ale zostawmy szczęśliwych kochanków,

A przejdźmy, gdzie się tłum kupi do szranków.

XIV.

Trąby z obozów zabrzmiały po lanach,
Wojska się ze snu porwały ochoczo;
Hufce po hufcach, i klany po klanach,
Jeden przed drugim ku szrankom się tłoczą;
Włócznie się jeżą nad głowami tłuszczy,
Jak nagie sosny w wypalanej puszczy.
A wszystkich oczy zwrócone ku drodze,
Zład zapaśnicy i przedniejsi wodze
Z zamku przybędą za chwilę;
A każdy tego lub owego sławi,
Wróży mu tryumf, i zakłady stawi
Na jego męztwie i sile.

XV.

W zamku tymczasem toczyły się spory.
Walter z Hardenu i Jan z Tirlestanu,
Za Delorraina, co jeszcze był chory,
Obaj chcą bronić czci jego i klanu.
Obaj uparci:— już jeden i drugi
Liczy swe prawa, wspomina zasługi,
Już gniew zaiskrzył w ich oku;

Słowo — a z sporu przejść mogą do zwady!

Próżne jednania przyjaciół i Lady:—

Gdy wtém — o dziwny widoku!

On sam, Delorraine, już w zbroję
odziany,

Zdrów, jakby nigdy nie odebrał rany,

Wszedł:—sam chce bronić swęj chwały.

Lady zdumiała nad skutkiem swych czarów,

Między wodzami znikł powód do swarów,

I trąby wyjścia znak dały.

XVI.

Lady jechała na czele orszaku,

Lord Howard pieszo szedł przy jęj rumaku,

Ręką trzymając za wodze;

Z częstych uśmiechów i skinienia głowy,

Znać, że uprzejme i wdzięczne rozmowy,

Wiedli nawzajem po drodze.

Lord zamiast zbroi, godowe miał szaty:

Brabanckie tkania i perskie bławaty

Zdobiły kaftan bawoli;

Na zwierchnim płaszczu haft połyskał drogi,
Złoty miał łańcuch, i złote ostrogi,
I kołpak z polskich soboli.
Miecz Toledoński, formy starożytniej,
Wisiał w szkarłatnej pochwie axamitnej,
U pasa cudnej roboty;
Wassale widząc ten strój od przepychu,
Jeden drugiemu szeptali po cichu
Dawniejsze Lorda zaloty.

XVII.

Tuż po za Lady, krokami wolnemi,
Stapał koń Anny:—strój długi do ziemi,
Igrał z tchem wiatrów nieśmiałych;
Twarz obwiewała przejrzysta zasłona,
Włos utrefiony spadał na ramiona,
Ujęty wieńcem z róż białych.
Gdyby nie Douglas idący koło niej,
Cugłów utrzymać nie mogłaby w dłoni,
Tak drżała w [sobie i w ręku;

Duglas rozumiał, że blizki bój krwawy
 Trwoży Dziewicę: i koł obawy,
 Zlekka wstrzymując ją w lęku.
 Ale prawdziwa przyczyna katuszy,
 Nicodgadniona została w jej duszy,
 I znać ją całkiem ovladła:
 Gdy wszedłszy ledwo na wysoki ganek,
 Pod baldachimem wzniesiony u szranek,
 Miejsce przy matce zasiadła.

XVIII.

Z boku, w obliczu obustronnych szyków,
 Stał młody Buklej, pod strażą Anglików,
 I cały w oku, z ciekawém obliczem,
 Znać że prócz bitwy nie myślał o niczém.
 W szrankach Home z Dakrem, na koniach,
 we zbroi,
 Bacznie, jak sędziom potyczki przystoi,
 Plac rozmierzają od końca do końca,
 Dzieląc korzyści powietrza i słońca.

I z ich rozkazu, woźny przy trąb dźwięku,
Głosi, by podczas walki zapaśników,
Nikt wzrokiem, ręką, ani niczém w rękę
Nie dawał znaków, nie wydawał krzyków,
Pod karą śmierci, z prawa i zwyczajów.
Skończył—i cichość nastala dokoła;
A Heroldowie obu wojsk i krajów,
Wyszli na środek, i każdy tak woła.

XIX.

HEROLD ANGIELSKI.

„Tu stoi Ryszard Musgra w, rycerz prawy,
„Mąż dzielny, z zacnej, wolnej krwi szla-
checkiej;
„I Delorraina, za mord brata krwawy,
„Za łupież podczas napaści zbojeckiej,
„Ogłasza zbójcą, bez czci i bez sławy,
„Zdrajcą przymierza i zgody sąsiedzkiej.
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż, sprawiedliwy Boże!”—

XX.

HEROLD SZKOCKI.

—, „Tu stoi Wiljam Delorraine, mąż
 dzielny,
 „Rycerz i wolny szlachcic;— i powiada:
 „Że Ryszard Musgra w jest kłamca bezczelny;
 „Że żadne podle morderstwo i zdrada,
 „Nie plami jego czei nieskazitelnęj;
 „I niechaj potwarz na potwarcę spada!
 „A co rzekł, mieczem poprze w każdėj porze:
 „Tak mu dopomóż, sprawiedliwy Boże!”—

LORD DACRE.

—, „Bóg niech rozstrzyga! — Do broni ry-
 cerze!
 „Trębacze! hasło!”—

LORD HOME.

—, „Bóg niech prawdy strzeże!”—
 —Wtenczas to echa po nad Tewiotem,
 Trąb przeraźliwych i broni łoskotem
 Zabrzmiały wszystkie zarazem!

Gdy się śród szranek, dwaj współzawodnicy,
Z zapalem w sercu i gniewem w źrenicy,
Starli — żelazo z żelazem.

XXI.

Nie przed damami śpiewać przystoi;
Jak ostrza siekier grzęzły we zbroi;
Jak po nich krwawe płynęły strugi:
Bo siła równa i bój był długi.
Lecz gdybym śpiewał w obec rycerzy,
Mógłbym opisać wszystko najszczerzej:
Bom i ja widział starcie puklerzy!
Bom i ja widział, jak się łamały
Włócznie o zbroje, i jak bryzgały
Krwiał ludzką końskie kopyty!
A przecież nigdy nie cofnął kroku,
I nieraz ze mną wróg oko w oku,
Zwarł się, i pierzchnął odbity.

XXII.

Stało się, stało!—helm przeszła siekiera,
Zachwiało się, we krwi pośliznął na trawie,

Padł;— próżno jeszcze ostatek sił zbiera:—
 Już ci nie powstać Ryszardzie Musgrawie!
 Krew pluszcze z rany:— przyskoczyli swoi,
 Przecięli węzły u helmu i zbroi,
 Chcą podnieść z ziemi;— o! próżne staranie!
 Twarz coraz bledsza:— śpiesz, śpiesz Kape-
 lanie!
 Niech szczera spowiedź i serdeczna skrucha,
 W drogę wieczności usposobią ducha!

XXIII.

Sluga pokoju bieży na plac bitwy,
 Nad konającym odmawiać modlitwy.
 Z wiatrem w pośpiechu ulata włos biały,
 Nagie się stopy krwią zafarbowwały,
 Gdy miejsce walki przebywał;
 Ukląkł, i baczenie nastawiając ucha,
 Niezrozumiałych słów spowiedzi słucha,
 Którą jęk często przerywał.
 Słucha, i w górze przed jego oczyma,
 Godło mąk ludzkich i zbawienia trzyma,
 I budzi żalność za grzechy;

Każę zapomnieć nienawiści wroga,
Uczy jak ufać w miłosierdziu Boga,
I krzepi słowem pociechy.
Umierający wzniosł jeszcze powieki,
Oczy w krzyż wlepił—i zamknął na wieki.

XXIV.

Jakby wysilon spracowaniem bitwy,
Lub jakby z Mnichem odmawiał modlitwy,
Zwycięzca stoi jak wryty;
Szyszaku nawet nie zdejmuję z czoła,
Głuchy na okrzyk co brzmi do okola,
Zimny na chwały zaszczyty.
Wtém nowe krzyki podziwu i trwogi,
Wzniosły się razem od zamkowej drogi,
Między Szkockimi widzami;
Tlum się rozpierzcha:—człowiek czy widziadło?
Wpół nagi, z usty i twarzą wybladłą,
Z rozczochanemi włosami:
Bieży—przeskoczył zagrodę—i oczy
Wpół obląkane na okolo toczy:—
Cóż to jest, jawa czy sen?

Gwar przerażenia dokola się szerzy,
Patrzają wszyscy, nikt oczom nie wierzy:—

To Wiljam de Delorraine!—

Lady się szybko porwała z siedzenia,
Sędziowie szranek skoczyli z strzemięcia,

„Ktoś ty jest?” razem spytali,

„Coś Delorraina wziął postać i lice,

„I w imie jego przyjął rękawicę?”—

Zwycięzca milcząc odsłonił przyłbicę—

Lord Kranston!— milczą zdumiali.

On rzekł: „walczyłem w obronie dziecię-
cia!”—

I syna Lady przywiódł w jej objęcia.

XXV.

Przemogło dumę uczucie matczyne,

Całując łzami oblała dziecięcę;

Bo i wśród boju, jak bądź sobą władła,

Widziano nieraz jak drżała i bladła.

Lecz na Kranstona nie zwróciła wzroku,

Choć klęcząc u stóp snać czekał wyroku.

Długoby mówić, co za nim w tej chwili,
Home, Douglas, Howard, i drudzy mówili;
Prosząc i radząc, by wspólne niechęci
Rzucić nawzajem na wiatr niepamięci;
I by wzgląd słuszny na miłość i męstwo,
Zjednał im łaskę i błogosławieństwo.

XXVI.

Lady spójrzała na rzekę i góry,
Przypominając ich duchów wyroczenie;
I na Kraustona wznosząc wzrok ponury:
„Los, nie tyś przemógł! — Niebo chce widocznie
„Wrócić nam pokój i zgodę.
„Obyź się całkiem ziścił wyrok Boży!
„Przed wolą Jego Pycha się pokorzy,
„Miłość mieć będzie swobodę.” —
Rzekłszy, dłoń Anny, co jak listek drżała,
Wzięła, i w ręce Kraustona oddała:
„Oto masz twoją nagrodę!
„Bądź zawsze wierny dla mnie i dla moich,
„Jak ja bydz pragnę dla ciebie i twoich:
„I niech Bóg czuwa nad wami!

„Bo dzisiaj jeszcze jest wasze wesele;—
 „A wszyscy nasi zacni przyjaciele,
 „Zechcą podzielać je z nami.”

XXVII.

W drodze do zamku, Lady przez połowę
 Pojęła przeszłych wypadków osnowę,
 Długą z Kranstonem prowadząc rozmowę:
 O jego Karle, gdzie i jak go zoczył,
 O bitwie, którą z Delorrainem stoczył;
 O xiędze, którą paż zabrał mu skrycie,
 I jak przez wziętych z niej nauk użycie,
 Dziś go do zamku wprowadził o świcie.
 Jak ukradł potem Delorraina zbroję,
 W którą się Kranston przyodział na boje,
 Za brata Anny ważąc życie swoje.
 Co było więcej—ukrył w tajemnicy,
 I konia zwolna zwrócił ku dziewicy.
 —Lady z swęj sztuki nie szukała chwały,
 Ani ją śmiała okazać w dzień biały;
 Lecz w myśli swojej, nim minie pół nocy,
 Przysięgła użyć wszelkiego sposobu,

By dać Karłowi uczuć gniew swój mocy,
I xięgę nazad odesłać do grobu.

XXVIII.

Na coż się przyda powtarzać do słowa,
O czém szła tkliwa kochanków rozmowa?
Jak niebu dzięki czynili i śluby,
Że ich tak cudem zbawilo od zguby;
Jak Anna, jeszcze bledniejąc z przestachu,
Opowiadała, co czuła w tój chwili,
Gdy go dziś rano ujrzała w swym gmachu,
I gdy patrzała jak w szrankach walczyli?
Na co odkrywać sere ich tajemnice,
Wzruszeń, uniesień, szczęścia i wesela?
Same to kiedyś poznacie, dziewice!
Gdy i wam wasza zaświta niedziela.

XXIX.

Delorraine jeszcze pozostał śród szranek.
Ledwo go ze snu obudził był ranek,
Gdy z trwogą i przerażeniem,

Zewsząd oznajmić przybiegli mu swoi,
Ze się ktoś w jego postaci i zbroi,

Zjawił pod jego imieniem,
I walczy w szrankach.— Na te straszne wieści,
Delorraine z gniewu zapomniął boleści:

I tak jak leżał w chorobie,
Pędził — i wszystkich przestachu nabawił;
Myśleli bowiem, że szatan się zjawił

W żywego człeka osobie⁷⁾.

Z razu z nowego nie rad sprzymierzeńca,
Widząc w nim jednak Anny oblubieńca,

Rękę mu podał serdecznie;
Bo jak bądź dziki, zawziętej urazy
Nie chował nigdy za rany i razy,

Byle zadane walecznie.

Nie skory nawet był do krwi rozlewu:

Chyba w potyczce, lub w zapale gniewu,

Lub mszcząc się śmierci krewnego.

I teraz właśnie nad martwym Musgrawem,

Patrząc nań okiem wpół gniewnym, wpół lza-

wém,

Tak scicha mówił do niego.

XXX.

„ Toż i na ciebie, Ryszardzie Musgrawie,
 „ Przyszła godzina, żeś stanął przed Bogiem!
 „ Równieśmy sobie dokuczyli prawie,
 „ Tyś mnie, jam tobie był śmiertelnym wro-
 „ giem.

„ Ja tobie brata, a ty mnie siostrzeńca
 „ Zabiłeś mieczem; i gdym wpadł w niewolę,
 „ Tyś tysiąc marków wziął za okup jeńca,
 „ I miesiąc w wieży przetrzymał na dole.
 „ Przysiągłem tobie nienawiść do grobu,
 „ Ścigałem wszędzie ogniem i żelazem,
 „ Ścigałbym zawsze, pókiiby z nas obu
 „ Nie poległ jeden, albo oba razem.
 „ Lecz już to przeszło:—odpoczywaj z Bogiem!
 „ Nikt szlachetniejszym nie może byđź wro-
 „ giem;

„ Nikt śród gór waszych i naszych rozłogów,
 „ Nie ścigał dzielniej jeleni i wrogów!
 „ Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
 „ Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami ⁸⁾;

„A dźwięk twój trąbki na każdym zawrócie,
 „Najśmielszym skrzydeł dodawał w odwrócie!—
 „Dałbym połowę mych lasów i bloni,
 „Gdybyś żył jeszcze — lub poległ z méj
 dłoni!”

XXXI.

Rzekł, i stał jeszcze:— aż Lord Dacre
 z namiotu,
 Wojsku swojemu dał znak do odwrotu.
 W twarzach rycerzy tchnął smutek głęboki,
 Gdy brali z ziemi towarzysza zwłoki,
 I przy rozwitych nad niemi znamionach,
 Na tarczy w kolej nieśli na ramionach.
 Przodem Minstreli słyhać śpiew pogrobnny,
 Z tyłu Kapłani, w odzieży żałobnej,
 Nóca *Requiem* i *Ave Maria*,
 A dym kadzidel ku niebu się wzbija.
 Po bokach jeźdźcy, krokami wolnemi,
 Jada, ostrz włóczni schyliwszy ku ziemi.
 I tak go nieśli śród swoich szeregów,
 Skróś Liddesdal, do Lewenu brzegów,

I w Holm-Koltramskiej świątyni dalekiej,
Obok z przodkami złożyli na wieki.

Śpiew zmiłkł — lecz jeszcze stron dźwięk
marsowy

Przedłuża, zda się, marsz pogrzebowy.
To brzmi głośniejszém, to cichszém echem,
Jakby wiał z dala z wiatru oddechem;
To się rozlega, jakby na górach,
To głuchnie, jakby w dołach i borach;
To słyhać, zda się, pieśni Minstreli,
To jakby cichy jęk przyjacieli;
Aż smutną nôtę psalmu Kapłanów,
Skończył poważném brzmieniem organów.

Gdy muzyk spoczał — Xiężna go bada:
Czemu, gdy arfą cudnie tak włada,
Woli kraj, w którym fanatyzm dziki,
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki⁹⁾;
I gdzie prócz tego ubóstwo ludu,
Nie ma czém godnie nagrodzić trudu;

Gdy na Południu *) każdy ochoczy,
Wspierałby mistrza arfy uroczej?—

Starzec, jakkolwiek miłą mu była
Arfa, co resztę dni mu słodziła,
Nie lubił jednak, gdy jój zalety
Ceniono wyżej niż rym poety;
Mniej znosił jeszcze, gdy kto kraj inny
Kładł wyżej jego ziemi rodzinnej;
Więc dumę, którą poczuł w swém łonie,
Tak wydał w dalszej pieśni i tonie.

*) W Anglii.

KONIEC PIEŚNI PIĄTEJ.

PIEŚŃ SZÓSTA.



I.

JEST-ŻE gdzie człowiek, sąż gdzie samoluby,
Co nigdy w sercu, nigdy w myślach swoich,
Nie rzekli z czuciem miłości i chluby:
„To jest ojczyzna, to kraj ojców moich?”
Którychby łzami nie zaszyły powieki,
Gdy wspomną o nim w pielgrzymce dalekiej?
Którychby serce nie wrzało płomieniem,
Gdy go znów własném obaczą spójrzeniem?—
O! gdy na świecie jest gdzie taki który:
Patrzcie nań, jakby na potwór natury!

Niechajby błyszczał, choć w mitrze xiążęcój,
 Niechby miał w skrzyniach tysiące tysięcy:
 Mimo tych blasków, tytułów, i złota,
 Dział jego będzie: wzgarda za żywota,
 I śmierć podwójna;—gdy z ciałem pospołu,
 I pamięć jego zarzucą do dołu,
 Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych,
 Na przykład kaźni do niego podobnych!

II.

O Kaledonio! posępna i dzika,
 Piastunko marzeń wieszczą-samotnika!
 Ziemio skał mrocznych i lasów zielonych,
 Przejrzystych jezior i rzek zapienionych,
 Ziemio mych ojców!—jakażby potęga
 Zerwać zdołała łańcuch co nas sprzęga,
 Dziś, gdy odwieczne twe drzewa i skały,
 Jedne już tylko na ziemi zostały,
 W których mi jeszcze żyje przeszłość wspólna,
 Gdym ja szczęśliwy, a tyś była wolna!
 I których moją nie znudzę żalobą,
 Nie zdziwię łzami, nad sobą i tobą?

O! wy Yarrowu lesiste rozłogi!
Choćby nikt przez was nie wskazał mi drogi;
O! wy Ettriku rozłożyście gaje!
Choć już w was dzisiaj nikt mię nie poznaje;
O Tewiocie! choć na twoim brzegu,
Darń jest mi tylko łożem do noclegu;
Nie pójdę od was, cudziej żebrać strzechy,
Cudziej pomocy, ni cudziej pociechy!
Choćbym zbłąkany zaginać miał z głodu,
Choćby krew skrzepla od nocnego chłodu:
Znajdą się przecież, co rękami swemi
Rzucą na oczy garść rodzinnój ziemi,
W której odpocznę z przyjaciółmi memi!

III.

Nie tak wzgardzeni, jak dziś ja, Minstrele,
Przybyli zewsząd na Anny wesele;
Z bliska i z dala przybyli wezwani,
Wojny i biesiad weseli kapłani!
Zadne się bez nich nie działy obchody:
Z godów na bitwy, i z bitew na gody,

Szli po kolei, i zmieniając nótę,
Krzepili męztwo, rzeźwili ochotę.
Przed chwilą jeszcze na czele swych klanów,
Drażnili każdy gniew swych współziemia-
nów;

Teraz już w obec narzeczonej młodej,
Sławią wdzięk cichej miłości i zgody.
Jedni na kobzach, ci na arfach grają,
Młodszy tańczą, sędziwsi śpiewają,
Aż się ich echem mury rozlegają.

IV.

Długoby było wyliczać wam z rzędu,
Wszystkie przepychy ślubnego obrzędu;
Jak się w zamkowej zebrali kaplicy,
Damy, Rycerze, Szkoci i Anglicy;
Jakie na szatach drogie axamity,
Atlasy, hafty, lub złotogłów lity;
Jakie na głowach pióra albo kity,
Ze strusich, czaplich, albo rajskich skrzydeł,
Pływały w górze w mgle dymu kadzidel.

Jak po ciosowych kamieniach podłogi,
Brzęczały miecze i złote ostrogi,
Gdy czyniąc miejsce przechodzącej parze,
Każdy w ślad za nią chciał biedz przed ołtarze.
Lub jak Lord Kiranston płomienne źrenice,
Zatapiał z dumą w narzeczonej lice;
Lub jak jój uśmiech, rumieniec lub bladeść,
Zdradzały w kolój: wstyd, bojaźń i radość!

V.

Byli co potém głosili, że Lady,
Zajęta wrzkomo przyborem biesiady,
W rzeczy zaś nie śmiać stanąć przed ołtarze,
Nie była razem: — to fałsz i potwarze!
Lady się wcale nie miała powodów,
Obawiać świętych ni miejsc, ni obchodów.
Bo nie przez zgubną moc Magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej¹⁾,
Wiedziała tylko sposoby, przez które
Mogła zniewalać Duchy i Naturę.
Mówię co prawda, choć zgola nie chwale,
Że się w te rzeczy wdawała zuchwale;

Lecz że w Kaplicy była — ręcę za to.
Okryta czarną axamitną szatą,
Na głowie miała ze strusiem pióry,
Toki axamitny, jaskrawej purpury,
Szyty rzędami perel, a u krajów,
Obramowany pasem gronostajów;
Na pięści sokoł, w szkarłatnym kapturku,
Siedział, trzymany na jedwabnym sznurku²⁾.

VI.

Obrzęd skończony:— gromada wesola,
Parami nazad wracała z kościoła.
W sali podłużnej, sklepionej w arkady,
Stał zastawiony stół świetnej biesiady;
Marszałek podług wieku i godności,
Laską swą miejsca wskazywał dla gości;
Młodzi paziowie, z nożami ze stali,
Na znak krajania po rogach czekali.
Nad czapłą, gluszcem, bażantem, żórawiem,
I w samym środku wznoszącym się pawiem,
Z złożonym dziobem i odzianym w pióra³⁾,
I nad łabędziem z Maryi jeziora⁴⁾:

Nad głową dzika z Kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów^s):
Nad zubrem, sarną, i inną zwierzyną,
Xiądz błogosławił krzyżem i łaciną.—
Wtenczas to z gwarem i wrzawą u stołu,
Zgiełk, balas, łoskot zabrzmiały pospołu,
Zewnątrz i wewnątrz, i z góry i z dołu!
Bo tuż przy oknach, na zewnętrznym ganku,
Trąby i kotły grzmią wścież bez ustanku;
Starzy wojacy na przekor ich echu,
Podnoszą coraz ton głosu i śmiechu;
Młodzi, tém śmielsi, że nikt ich nie słucha,
Młodym dziewicom szeptają do ucha.
Sokoly w górze, pod sklepieniem gmachu,
Słyszac tę wrzawę i kracząc z przestracchu,
Brzęczą dzwonkami i skrzydłami biją,
Wtórując chartom co skomla i wyją.
Tymczasem Reńskie i Burgundzkie wino,
Z flasz w roztruchany potokami płyną;
Jeden drugiemu ochoty dodawa:—
Wszędzie śmiech, żarty, pijatyka, wrzawa.

VII.

Karzeł Kranstona, jak żadnej zrzęzności
Nie miał nigdy do psoty i złości,
Widząc w tej chwili pijaną ochotę,
Rozpoczął swoje szatańską robotę.
I obiegając w krąg stołu biesiady,
To jątrzył żarty, to poduszczał zwady:
Aż wręście Konrad z W olfszteinu, z na-
tury
Skory do gniewu, i zawsze ponury,
Dziś jeszcze bardziej, że mu w nocy z blonia,
Skradł ktoś w obozie najlepszego konia:
Słowo za słowo, uniósł się do tyła,
Że rękawicą uderzył Hunthila,
Rycerza z dumnych Ruterfordów domu:
Na słowo Karła, co mu pokryjomu
Szepnął, że Hunthil wie sprawców kradzieży.
Home, Douglas, Howard, i inni z rycerzy,
Skoczyli zaraz, by w pierwszym zarodzie,
I koniec krwawej położyć niezgodzie.
Hunthil nie nie rzekł, lecz z twarzą surową,
Zgryzł rękawicę, i potrząsnął głową ⁶).—

Miesiąc nie minął — a już jak wieść niesie,
Ciało Konrada znaleziono w lesie,
Skrzeple we własnej krwi, i już bez broni.
Nikt nie mógł dociec, jak, z czyjej legł dłoni,
Lecz słyhać było z powieści sąsiedzkiej,
Że Hunthil odtąd miecz nosił niemiecki.

VIII.

Karzel się bojąc, aby oko Lady
Złośliwej jego nie dostrzegło zdrady,
Wemknął się, skrycie opuściwszy salę,
Gdzie godowali giermki i wassale,
Nie mniej wesolo, hucznie i wspaniale.
Watt Tinnlin, grając gospodarza rolę,
Uprzejmie gości częstował przy stole,
I pił, wśród gęstych i głośnych okrzyków,
Zdrowie Howarda i mężnych Anglików.
Ked Roland wzajem, za gościnność domu,
Wzniósł toast Szkotów i Lady Branksomu.
A każdą razą, z wielkich dzbanów, w kolęj,
Szumiało piwo płynące jak olęj.

Wszyscy twierdzili, że równej biesiady
Nie było w zamku od przenosin Lady.

IX.

Karzeł poznawszy łuczника, któremu
Przysiągł był zemstę od wczorajszej doby,
I widząc teraz że pora po temu,
Jął mu dokuczać różnemi sposoby.
A naprzód w słowach dojadł do żywego:
Mówiąc jak Armstrong bawil żonę jego;
Jak sam z pod Solway uciekł z pola bitwy,
I gwał co siły, i trzepał modlitwy.
Potem się czając, i choć nie bez strachu,
Chroniąc się ręki potężnej zamachu:
To go uszczypnął wpoiwszy paznokić,
To oblał piwem trąciwszy pod łokieć;
To mu z pod ręki skradł talerz z posiłkiem;
Aż pod stol wręście wcisnąwszy się chyłkiem,
Ostrém żelezcem, snąc w jadzie zmaczaném,
Nogę mu na wskrós przebił pod kolanem:—
Bo mimo leków różnego sposobu,
Ból ztąd i blizna zostały do grobu.

Porwał się Tinnulin zgrzytając zębami,
 I stół przewrócił do góry nogami.
 Ściany się dzikim zatrzęsły hałasem :
 Każdy klął, krzyczał; — a Karzeł tymczasem,
 Wrócił do sali, i w kął utajony,
 Mruczał: „,stracony! stracony! stracony!”

X.

Lady by zabiedz wznawianiu się kłótni,
 Przyzwala Bardów i mistrzów na lutni.
 Albert Groem, starzec, z powagą w obliczu,
 Bard klanu swego, co na Pograniczu
 Sam pan swój tylko, na swe hojne stoły,
 Brał równie Szkoockie jak Angielskie woły⁷⁾:
 Powstał, i arfę trzymając na łonie,
 Nócił pieśń prostą w układzie i tonie.

XI.

ALBERT GROEM.

„Była Angielka cudnej urody,
 (Karlił się błyszczy od słońca w lecie;)

Czule jęj serce Szkot zyskał mlody,

Bo miłość wszystkięm rządzi na świecie.

Jasno dzień ślubu wschodził ich oku,

(Karlil się błyszczy od słońca w lecie;)

Lecz z nim ich szczęście zgasło o zmroku,

Choć miłość wszystkięm rządzi na świecie.

Ojciec ją darzył bogatym strojem,

(Karlil się błyszczy od słońca w lecie;)

Brat podał tylko czarę z napojem,

Gniewny, że miłość rządzi na świecie.

Brat jęj zazdrościł bogactw i złota,

(Karlil się błyszczy od słońca w lecie;)

Nie chciał by posag szedł w ręce Szkota,

Choć miłość wszystkięm rządzi na świecie.

Wypiła kroplę, i twarz jęj zbladła:—

(Karlil się błyszczy od słońca w lecie;)

U nóg kochanka bez życia padła;

Bo miłość wszystkięm rządzi na świecie.

Kochanek mieczem przebił jej brata,
(Karlił się błyszczy od słońca w lecie;)
Wszystkim należy taka zapłata,
Co szczerą miłość dziela na świecie.

Potem z rozpacz, próżen nadziei,
(Karlił się błyszczy od słońca w lecie;)
Wziął krzyż, i walcząc zginął w Judei:—
Tak miłość wszystkiem rządzi na świecie.

O wy! co kochać umiecie szczerze,
(Karlił się błyszczy od słońca w lecie;)
Z westchnieniem za tych zmówcie pacierze,
Co dla miłości zmarli na świecie!”

XII.

Gdy Albert skończył skromną pieśń swych
krajów,
Powstał Bard Anglik, bratniego języka;
Niegdyś z swych ballad, sonetów i lajów,
Słynny szeroko na dworze Henryka.
Tam twoje złotą arfę, Fitztrawerze!
Wielbiły damy, lubili rycerze,

I Surrey,— Surrey! niestety!
 Komuż jest obcą cześć tego imienia?
 Rycerz bez skazy, poeta natchnienia,
 Kochanek z sercem poety ⁸⁾!

XIII.

Z nim razem błędząc po dalekich krajach,
 Nieraz gdy gwiazdy zabłyśły na niebie,
 Obaj w mirtowych lub oliwnych gajach,
 Pieśniami wzajem pocieszali siebie.
 A tak był wdzięczny chór zlanych ich głosów,
 Ze nieraz wieśniak hiszpański lub włoski,
 Brał je za echo, co płynąc z niebiosów,
 Nad grobem Świętych brzmi hymn chwały Bo-
 skięj.

Choć treść obudwu ich pieśni jedyna,
 Była Surreja luba Geraldyna.

XIV.

O Fitztrawerze! któż znając twą duszę,
 Wysławić zdola rozpacz twego serca,

Gdy przyjaciela na śmierć i katusze,
Skazał bezbożny Tudor przeniewierca?—
Gardząc tyrana łaskami i gniewem,
Głos Barda mściwym odezwał się śpiewem;
I opuściwszy blask miasta i dworu,
On sam, z zielonych ogrodów Windsoru,
Szedł szukać ulgi w żalach swoich rzewnych,
Wpółród Surreja przyjaciół i krewnych;
I dziś przy wodzu rodziny Howardów,
Był druhem jego, i przewodzcą Bardów.

XV.

FITZTRAWER.

„Było to na Zaduszny Dzień;— serce Surreja
Drżało gwałtownie:— północ wybiły zegary.
W sercu jego z bojaźnią walczyła nadzieja:
Mistrz Kornelius, mędrzec, obiecał przez czary,
Choć go z kochanką morza dzieliły obszary,
Ukazać mu jej postać, i dać poznać razem,
Czy mu wiernie raz danęj dochowuje wiary.
Surrey ufał— lecz poszedł za mistrza rozkazem,
By wzrok i serce lubym nasycić obrazem.

XVI.

Ciemna była komnata, osklepiona gładem,
Gdzie rycerza czarodziej wiódł z licem wy-
bladłym.

Jedna tylko gromnica z mistycznym wyrazem,
Na oltarzu okrytym kiru prześcieradłem,
Tłąc się blado przed mrocznym, wysokim
zwierciadłem,

Rzuciła blask na czarne dwóch tablic marmury:
Talizmany z tajemnym, wschodniem abecadłem;
Na magiczne narzędzia, kola i figury,
Śród których z laską w ręku stanął mistrz po-
nury.

XVII.

Nagle w głębi zwierciadła, jakby białe
chmury,
Jak mgły, wznoszą się z dołu, spływają się z bo-
ków;

Skróś nich światło, jak gwiazda spadająca z góry,
Błysło w środku— i laską skinął mistrz uroków.

We szkle, jak z pod zasłony rozwianych obłoków,
 Widać pańską komnatę:— w oknach blask xię-
 życy,
 Wpadając słupem, walczy z émą wieczornych
 mroków;
 W głębi lampa złocistą alkowę oświeca,
 Na rzędach kolumn;— resztę okrywa ciemnica.

XVIII.

Wszystko piękne — lecz stokroć piękniejsza
 dziewica,
 Na łożu z perskiej tkani, jakby w pół uśpiona,
 Duma:— na śnieżnej dłoni smutne wsparła lica,
 Włos niedbale rzucony spływa na ramiona,
 I na tunikę białą;— przed nią rozłożona
 Xięga w drogiej oprawie:— w niej zda się przy-
 czynia
 Ciężkich westchnień, co gwałtem wznoszą się
 z jej łona:—
 To xięga pism Surreja!— to jego jedyna,
 Wiernie po nim tęskniąca, piękna Geraldina!

XIX.

Surrey chciał biedz: — wtém obraz cofać
się zaczyna,

Jak gdyby się zatapiał w przezrocza otchłanie;
I znowu tło zwierciadła mgła powłokła sina. —
Tak złość twoja i zawiść, bezbożny tyranie!
Zaćmiły dni Surreja; — niebo niech ci za nie
Odplaci! — kara jego na twych synów syny,
Przekłństwo niechaj spadnie na twe panowanie:
Za twe łoże zbroczone krwią ofiar bez winy,
Za morderstwo Surreja, i tży Geraldiny!" —

XX.

Zgodne oklaski Anglików i Szkotów,
Zabrzmiały echem piorunnych loskotów;
Bo wszystkim wspólna nienawiść Henryka,
Jako tyrauna i wiary zmiennika. —
Wtém z grona Bardów powstał Harold młody,
Bard Lorda Saint Clair, co bawiąc z przygody
Gościem na uczie u Barona Homu,
Z nim razem przybył na odsiecz Branksomu!

Harold się rodził, gdzie jakby w okowy,
Między Orkadzkie ujęty ostrowy,
Ocean wiecznie burzące się wały,
Pieniać się z rykiem roztrąca o skały.
Gdzie ród Saint-Clairów, potężny przez
wielki⁹),
Rozciągał berło władzy i opieki;
I gdzie dziś jeszcze, sterczące na skale,
Pokonywając czas, wichry i fale,
Gruzy ich zamku jaśniejają wspaniale.
Tam Harold pnąc się na skaliste wzgórza,
Po dniach i nocach nad brzegami morza,
Dumał, lub okiem ścigając za łodzią,
Drżał, gdy się z wzdętą łamala powodzią.
A fal i wichru wściekłość rozdąsana,
Były rozkoszą wieszczego młodziana.

XXI.

I wiele wzniosłej, uroczej osnowy,
Miały dla Barda te dzikie ostrowy!

Tu niegdyś w czasach zamartwych dla gminu,
Grzmieli orężem synowie Lochlinu;
Ztąd brzmiała echem wieków powtarzana,
Trąba Fingala, i pieśń Ossyana.

Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach ¹⁰),
Królowie Morza, w mgły nocnej obłokach,
Sroźsi niż burza i ocean razem,
Szli szukać łupu, z ogniem i żelazem!—

Nie jedna dotąd zapadła dolina,
Pomni hymn Skaldów na chwałę Odina;

Nie jeden w Runach kurhan tajemniczy,
Splynął krwią ofiar bałwochwalczej dziczy;
Nie jedna Saga, żyjąca w podaniu,
Przewodniczyła Harolda dumaniu.

Aż napojony duchem ich powieści,
Mglistej, posępnej, cudotwornej treści,
Przybył do zamku Roslinu, gdzie wonne,
Zielone smugi, i pola przestronne,
Milszym wzrok jego czarując obrazem,
Pieśń łagodniejszą natchnęły zarazem.

Zawsze się jednak z rzewnemi jej nótę,
Łączył ton dawny ponuręj tęsknoty.

XXII.

H A R O L D.

Sluchajcie, sluchajcie! nie głoŃnej powieŃci,
Dzieł Ńlawnych, rycerskich Minstreli:
Lecz tęsknej, jak ciche westchnienia boleŃci,
Którzej godzien jest los Rozabelli.

+

„Patrz starcze sterniku, jak nieba się chmurzą!
„Patrz młoda nadobna ty Pani!
„Przyjm w zamku nadbrzeżnym goŃcinę przed
burzą,
„Sterniku zwiń żagle w przystani!
„Na głębiach już fala pianami się bieli;
„W poŃwistach dziś wichru o Ńwicie,
„Rybacy Ńlyszeli, krzyk Ducha topieli,
„Co blizkie zwiastuje rozbicie.

„I nasi wieszczbiarze od wczoraj już wrożą,
„Ńmierć komuŃ w bezdenniej otchłani;

„Więc piękna dziewico, wyjdź na brzeg przed
burzą.

„Sterniku zwiń żagle w przystani!”

— „Nie przeto, że młody Lord Lindsay w Roslinie,

„Z orszakiem dziś bawi od rana;

„Lecz śpieszę, że we łzach o każdej godzinie,

„Wygląda mię matka stroskana.

„Nie przeto, że jutro turnieje w Roslinie,

„I że Lindsay lubi turnieje;

„Lecz ojciec mój smaku nie będzie czuł w winie,

„Gdy nie ja mu kielich naleję.”—

I nawa szła dalej, w brew wichru i fali,

Po ryczącej morza topieli:

Tak na nic niepomna, tak niezém niezłomna,

Była młoda chęć Rozabelli.

Nad zamkiem Roslinem dnia tego z wieczoru,

Blask dziwny śród niebios obwodu,

Zajaśniał — jaśniejszy niż blask meteoru,
Czerwieńszy niż xiężyc u wschodu.

I pałał noc całą, nad zamkiem i skałą,
Nad głębią wąwozu i jaru;
Z okolic Dryden u, i z skał Hawthorndenu,
Widziano jak lunę pożaru.

I w zamku się wszystko zdawało w płomieniach,
Dziedziniec, i baszty, i wieże;
I kościół, gdzie w dawnych grobowych sklep-
niach,
Śpią dawni Roslinu Rycerze.

I w środku kościoła, jak ogniem dokoła
Iskrzył ołtarz, i strop, i kolumny;
I w grobach rycerzy, blask bił od pancerzy,
Leżących we zbrojach, bez trumny ¹¹).

Pan zamku i Pani, i goście zebrani,
Noc w modlach spędzili w Roslinie:
Bo rzecz to nie nowa, że jasność takowa,
Wróży śmierć w Saint-Clairów rodzinie.

Dwudziestu Baronów z Saint-Clairów ro-
dziny,

Spi w grobach zamkowej kaplicy;

Lecz otchłani głębiny, i całun wód siny,

Są grobem nieszczęsnej dziewicy!

Każdego z Baronów, dźwięk pieśni i dzwonów,

Prowadził do wiecznej pościeli;

Lecz świst huraganu, i ryk oceanu,

Głosił tylko zgon Rozabelli!"--

XXIII.

Piosnka Harolda tak zajęła gości,

Że nikt nie zważał nie zwykłej ciemności,

Co zwolna gmachu osiadła sklepienie.

Nie zmrok to jeszcze, nie słońca zaćmienie,

Nie mgła:— a jednak tak gruba pomroka,

Że obok blizy stracili się z oka,

Że nikt swój ręki nie dojrzał u stola.

Cisza przestachu obszła dokola:

I nawet Lady odbiegła otucha.

Poczuła przemoc silniejszego ducha!

Karzeł na ziemię padł, i przerażony
Jęczał: „znajdziony! znajdziony! znajdziony!”—

XXIV.

A wtém skrós stropu, z piorunowym trzaskiem,
Strzał błyskawicy, gzygzakowym blaskiem,
Rozdarł ciemności;— wszystko w oka mgnieniu,
Zdało się w iskrach i krwawém płomieniu.
Błysły na stole srebrzyste talerze,
Błysły na ścianach wiszące puklerze;
Wszystko co było, od góry do dołu,
Zalśniło z blaskiem, i zgasło pospołu.
Piorun przeleciał wzdłuż po nad wszystkimi,
I padł, gdzie Karzeł z jękami głuchemi,
Gryzł wścickie ręce, i wil się po ziemi.
Každy jak siedział, skamieniał z przestachu.
Gęsty dym siarki rozszedł się po gmachu,
Blask z okien oblał doliny i wzgórze,
Łoskot się rozległ od morza do morza;
W zamku Karlilu, na wałach Berwiku,
Straż z bronią w ręku wybiegła do szyku;

I gdy się wręście wszystko uciszyło,
Pierzchły ciemności — i Karła nie było.

XXV.

Wielu słyszało głos w sali Branksomu,
Wielu przy świetle błyskawicy gromu,
Widziało widok nie ziemskiej natury.
Głos ten straszliwy zawołał jak z góry:
„Sam tu Gylbinie!” — a gdzie Karzeł w trwodze,
Jęczał, i piorun spadł nań na podłodze:
Śród kłębów dymu wiejących po gmachu,
Jedni widzieli, jakby dłoń w zamachu,
Drudzy kraj szaty; innym się zdawało,
Widzieć twarz ludzką z długą brodą białą.
A każdy niemy, bez tchu i bez ruchu,
Drżąc bił się w piersi i modlił się w duchu.
Ale nikt nie był jak Delloraine, który,
Tak śmiały niegdyś z wprawy i z natury,
Teraz jak gdyby sam rażony gromem,
Z zjeżonym włosem, z okiem nieruchomém,
Z ustami na ścież, i twarzą wybladłą,
Stał, jak ten, który obaczył widziadło,

I czyj się rozum z przestraschu obłąkał.
Aż zapytany, przerywanym głosem,
Słowo po słowie zaledwo wyjął:
Że widział starca z ubielonym włosem,
W pielgrzymim stroju, bez żadnego znaku,
I w pasie w złote godła zodyaku;
I choć nie mówił z kąd mógł sądzić o tém,
Przysiągł, że starzec był Michałem Skottem.

XXVI.

Sluchali wszyscy blednąc z przerażenia,
Ale nikt nie śmiał przerywać milczenia.
Aż powstał z miejsca Douglas znamienity,
I bogobojnych obyczajem czasów,
Uczynił *votum* do Świętej Brygitty,
Patronki domu i rodu Duglasów:
Że nie wracając do domu, z obozu,
Wprost na pielgrzymkę pójdzie do Melrozu,
I msze zakupi za Michała duszę.
Wnet wszyscy inni, w pokorze i skrusze,
Czyniąc znak krzyża i wstając od stołu,
Každy z osobna, i wszyscy pospołu,

Brali na świadki swych świętych Patronów,
Że razem pieszą pielgrzymkę odprawiają,
I przy odgłosie organów i dzwonów,
Obrzęd żałobny za Michała sprawią.
Lady tymczasem z uchyleniem czoła,
Czyniąc akt wewnętrznej pokory i skruchy,
Przysięgła w imię Boga i Kościoła,
Zerwać na zawsze z czarami i duchy.

XXVII.

Mamże wam dalej śpiewać o weselu,
Co tak przerwane, po dniach ledwo wielu,
Święcono znowu, z xiążącym przepychem,
Tańcem, pieśniami, arfą i kielichem?
Ja tam nie byłem, ale ci co byli,
Długo w swych pieśniach weselnego tonu,
Sławili zgodnie i błogosławili,
Kwiat Tewiotu i Lorda Kranstonu.
Właściwsze dla mnie są posępne nóry,
Które pielgrzymom brząkali Minstrele,
Gdy nócąc hymny i psalmy pokuty,
Szli do Melrozu z Duglasem na czele.

XXVIII.

Z rękami na krzyż, włosieniem odziani,

Boso, powrozem grubym przepasani,

Szli zwolna jeden za drugim;

Prócz echa psalmów, ni gwaru, ni śmiechu,

Ni słów, ni kroków, ni prawie oddechu,

Nie słyhać w rzędzie ich długim.

Rycerska śmiałość i xiążęca pycha,

Znikły z ich czoła: a pokora cicha,

Wzrok ich schyliła ku ziemi;

Szli, i nikt chwili nie wytchnął ze znoju,

Nikt dźbła pokarmu, nikt kropli napoju,

Nie dotknął usty spiekłemi.

I do kościoła, o północy głuchój,

Weszli, posępni, milczący jak duchy,

W białych kopicach, wybladli;

I przed wielkiego oltarza stopniami,

Jeden za drugim, jak stali parami,

Twarzą na ziemię upadli.

Nad niemi dawnych znamiona rycerzy,

W grobach pod niemi proch ich ojców leży;

W lampach z ołtarza jaśnieje krzyż Zbawcy,
 A w świetle jego, Święci i Wyznawcy,
 Jak w blasku chwały wiekuiestój, biali,
 W ściennych framugach nieruchomi stali.

XXIX.

A wtém z ubocza, naprzeciw ołtarzy,
 Z głębi dalekich, mrocznych kurytarzy,
 Po dwóch, szeregiem, z klasztoru:
 Przy dzwonów, dzwonek, i kadzielnic brzęku,
 Z krzyżem na czele, z gromnicami w rękę,
 Kaplani idą do choru.
 Na białych komżach ich czarne kaptury,
 Krok ledwo znaczny, ton śpiewu ponury,
 Twarz światłem gromnic pobladła:
 Rzekłbyś, że ciemne otwarły się groby,
 I że po sobie obrządek żaloby,
 Same sprawują widziadła.
 Opat w tyarze, z pastorałem w dłoni,
 W mgłę przezroczystej dymiących się woni,
 Po ukończonych modlitwach,

Błogosławieństwem powitał rycerze:
 By niezachwiani w jedności i wierze,
 Niezlomni byli na bitwach!—
 Równy ze świtem, śpiewaną mszą świętą,
 Wielki żalobny obrzęd rozpoczęto,
 Za duszę Michała Skotta;
 Z wieży kościelnej wstężył bity we dzwony,
 Xięża śpiewali msze i antyfony,
 Aż echem sklepień ponuro wtórzoney,
 Śpiew pogrzebowy i nótą:
 „DIES IRAE, DIES ILLA,
 „SOLVET SAECLUM IN FAVILLA,
 Zabrzmiały z dźwiękiem poważnych organów.
 I gdy się godzi świętymi ich słowy,
 Skończyć pieśń ziemskiej i błahiej osnowy,
 Te były słowa Kapłanów.

XXX.

HYMN ZA UMARŁYCH.

„Straszny dzień sądu Twojego, Panie!
 Gdy się otworzą grobów otchłanie,

Gdy każde ciało z martwych powstanie:
Któż gniew Twój wtedy wytrzyma Panie?

„Gdy jako w ogniu spalone zwoje,
Niebiosa zwiną błękity swoje,
Gdy ziemia z jękiem pęknie na dwoje:
Przy czémże grzesznik ja się ostoję?

„Lecz Tyś jest BOGIEM, Ty Ojcem Panie!
W Tobiem ja złożył moje ufanie:
Ty racz nade mną mieć zlitowanie,
W straszny dzień sądu Twojego, Panie!”

Bard skończył powieść; — lecz czyliż znówu,
Gajem Ettriku, brzegiem Yarrowu,
Poszedł, jak przedtém, pod gołém niebem
Spać, i żebranym karmić się chlebem?
Nie! — tuż przy bramie zamku Newerku,
W gajowym cieniu dębu i świerku,
Wzniosła się Barda ustronń wesola.
Skromna lepianka: — ale dokola

Kwitł bujny sadek, grodzony głogiem,
Siedzenie z darni było przed progiem,
W środku kominek: — przed którym codziennie,
Nie jeden zwykle grzał się przychodzień,
Lub gospodarza chętniej rozmowy,
Sluchał, zasiadłszy w wieczór zimowy.
Bowiem udzielać innym gospody,
Któręj sam zebrać musiał był wprzód,
Była to starca rozkosz jedyna;
I nieraz wtedy kieliszek wina,
Nieraz zmięszany ze łzą wdzięczności,
Za zdrowie Xiężnej przepił do gości.

Tak przechodziła zima: — lecz z wiosną,
Gdy gaj brzmiał ptasząt wrzawą radośną:
Gdy smug Harhedu, Bowhillu wzgórze,
Krasily kwiaty, wieńczyły zboża,
A szum wód rwących lodu okowy,
Łączył się z szumem Blandro dąbrowy:
Wtenczas na pięknych brzegach Yarrowu,
Duch wieszczy w starcu ożywał znowu;
Wtedy znów śpiewał rycerskie dzieje,
Wesołe uczy, świetne turnieje,

Miłość, zabawy, łowy i bitwy,
Lub swój ojcowski żal i modlitwy.

Przechodnie stając w milezeniu głuchém,
Echa słów cheiwém łowili uchem;
Starcy słuchając wspomnień przeszłości,
Rzeźwili w sercu ogniem młodości;
Młodzi rzucając płochę zabawy,
Ssali z nich żądzę podobnej sławy;
A wszyscy zewsząd ze czcią bieżeli,
W dom Ostatniego z Szkockich Minstreli.

K O N I E C.

Miłosc, rękawy, łowy i bitwy,
 Lubi zwój ojcowski żal i modlitwy,
 Przechodząc śpiesz w milczeniu głuchem,
 Echa słów zbrzydła łowili neham,
 Stary słuchając wspomnień przelanych,
 Rzucił w stronę egipską radości,
 Miał w rękawie płochę rękawy,
 Szła z nich także podobnej sławy,
 A wazy **СВІТЛИЦА ІСО**
 W domu Opatniego z Szachlicki Ministra.

 K O N I E C

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

1. Str. 9. w. 1. Ustal w Branksom gwar biesiady.

Za panowania Jakuba I. Króla Szkocyi, Sir Wiliam Scott z Buccleuch, naczelnik Klanu tegoż imienia, nabył Baronią Branksom, wraz z zamkiem, położonym nad rzeką Tewiotem, który odtąd stał się głównym siedliskiem, możnej tej i potężnej w swoim czasie rodziny. Ustawiczne napaści ze strony pogranicznych Anglików i wojenny charakter Panów Branksomu, używających ochoczo prawa odwetu, uczyniły ich zamek jednym z najważniejszych punktów na Pograniczu między Anglią i Szkocyą, i stały się powodem do ciągłych a silnych środków ostrożności, opisanych w texcie. Następcy Sir Wiliama rozszerzyli go i wzmocnili; lecz w r. 1571 Królowa angielska Elżbieta, rozgniewana na rodzinę Buklejów, za kilkokrotne łupieże jój granic i za sprzyjanie Królowej Maryi Sztuart, wysłała przeciw nim znaczne woj-

sko, które zburzyło zamek i spustoszyło Baronią Brank somu. Sir Walter Scott, będący naówczas jej właścicielem, odbudował natychmiast zamek, który potem wdowa po nim, Małgorzata z domu Duglasów, mocnemi zewnątrz murami obwarować kazala— Dziś zamek ten leży w ruinach, prócz czworokątnej wieży narożnej, zadziwiającej grubością swych murów.

2. Str. 13. w. 5. Rok ledwo upłynął,
Jak Lord Walter zginął.

Sir Walter Scott, nastąpił po swoim dziadku Dawidzie w r. 1492. Śmierć jego była skutkiem krwawych niezgód, wynikłych między klanami: Skottów i Karrów albo Kerrów. Dla zrozumienia wielu miejsc w teście, musimy wejść w bliższe szczegóły tego wypadku.— W r. 1526, Hrabia Angus, z domu Duglasów, wraz z innymi członkami tej przemożnej naówczas rodziny, korzystając z nieletności Króla Jakuba V., rządili krajem jak chcieli, i nikt im oprzeć się nie śmiał. Król wszakże, jakkolwiek nieletni, niecierpliwie znosił ich jarzmo, i szukał wszelkich sposobów, aby się mógł z niego wyzwolić. Napisał więc własną ręką tajemny list do Lorda Buccleuch, prosząc go, aby zebrawszy krewnych swych i przyjaciół, i wszystko jakie będzie mógł siły, pospiechał z niemi do Melrozu, gdzie Król w towarzystwie Duglasów, w powrocie z Dżedburgu do stolicy, miał się zatrzymać na nocleg, i aby go z rąk Duglasów wyzwolił. Tymczasem na powitanie Króla, przybyli tamże ze swoim ludem, naczelnicy licznego i potężnego klanu Karrów, Lordowie: Hume, Cessford i Fernyhirst; którzy

zaledwo nazajutrz oddalili się do domów, gdy ujrzano z drugiej strony nadeciągające wojsko Bukleja. Duglasowie domyślając się jego zamiarów, wywiedli przeciw niemu straż królewską i cały zbrojny swój orszak. W bliskości wzgórza Halidon-Hill, przyszło do krwawej z obu stron bitwy; zwycięstwo długo było niepewne; aż nakoniec uwiadomieni o tém przez gońca Karrowie, wrócili z drogi, i uderzywszy na tylną straż Bukleja, wojsko jego do ucieczki zmusili. Nieprzystając na tém Lord Cessford, puścił się w pogoń za pierzahającymi, mordując bez litości kto mu tylko wpadł w ręce; aż sam nareście, przez jednego z domowników Bukleja, włócznią zabity został. Odtąd oba te klany zaprzysięgły sobie wieczną nienawiść, która po wielokroć w następnych latach była hasłem domowych między nimi wojen. Za najglówniejszy ich wypadek można uważać śmierć samego Sir Waktera Skotta, zabitego przez Karrow na ulicach Edynburga w r. 1552, o czém właśnie jest mowa w texcie.

3. Str. 14. w. 2. Próżno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc cudownych szli wszędy.

Pomiędzy wielu innemi środkami, jakich używano dla przywrócenia zgody między klanem Skottów i Karrow, wodzowie obu zawarli między sobą układ, mocą którego obowiązali się odbyć razem cztery pielgrzymki do miejsc cudownych w Szkocyi, dla odprawienia wspólnych modłów za dusze poległych. Środek ten atoli nie wydał pożądaných owoców; gdyż wojna pomiędzy nimi, wkrótce znów, z większą jeszcze niż przedtém zaciętością wybuchła.

4. Str. 15. w. 18. Lord Kronston jój oblubieniec,
Cessfordów był pokrewieniec.

Familia Kranstonów była jedną ze znakomitszych na Pograniczu. Stolicą jój był zamek Crailing, nad Tewio-tem. Kranstonowie, przez pokrewieństwo z Karrami, długo byli w wojnie z klanem Skottów, aż nakoniec około r. 1557. jeden z nich pojął córkę Lady Branksonu, która kilku laty przedtém, trzymała w oblężeniu jego zamek i czyhała na jego życie.

5. Str. 16. w. 7. Ojciec jój mędrzec głęboki
Szczep możnych Bethunów domu.

Rodzina Bethunów albo Beatownów, pochodząca z Francyi, miała swe posiadłości w hrabstwie Fife, i wydała wielu znakomitych ludzi: między innymi Kardynała Bethune, i dwóch arcybiskupów Glasgowskich. Z niej pochodziła Joanna Bethune, małżonka zamordowanego Sir Waltera Skotta, niewiasta pełna odwagi i nauki, tak, że przesądne umysły przypisywały jój znajomość sztuki czarnoxiężkiej.

6. Str. 16. w. 16. Ni przed nim ni za nim cieniu
Od ciała jego nie było.

Podług tradycyi gminnej, cień czarnoxiężnika był nie zależnym od słońca. Dawny pisarz Glycas, pisze o jednym z nich, Symonie Magu, iż ten rozkazał swemu cieniowi, aby zawsze siedł tylko przed nim, i przez to wzbudził mniemanie u ludu, iż to był duch, który mu wszędzie towarzyszy. Jest jeszcze inne podanie w tym względzie. Podług niego, skoro uczniowie sztuki czar-

noxiężkiej uczynią w niej pewne postępy, muszą przebiegać wszyscy razem przez ciemną, podziemną salę, gdzie djabeł pędzi za nimi, i chwytą tego, który jest ostatnim; chyba że i ten będzie zmykał tak prędko, że wpadnie do drzwi pierwiej, nim go djabeł dogoni; a wtedy cień tylko jego zostaje się w ręku szatana. W takim razie ciało czarnoksiężnika nie będzie już rzucalo cienia; ci zaś, którzy tym sposobem „*cień swój stracili*” uważani są zawsze za największych Magów.

7. Str. 17. w. 2. Że na jój straszne zaklęcia,
Nadziemskie drżały widziadła.

Wiara w duchy pośrednie między niebem a ziemią, mieszkające w powietrzu lub w wodzie, jest dość powszechną między ludem Szkockim, który przyznaje im moc wzbudzania wichrów, powodzi, i tym podobnych fenomenów, których przyczyny pojąć i wytłómaczyć nie umie. Sądzi także, że się mieszają często do spraw ludzkich, niekiedy w celu szkodzenia, niekiedy chcąc im dopomóc. Wiele tego rodzaju wypadków znajduje się w pieśniach i podaniach gminnych. Wspominam o tém, aby usprawiedliwić wprowadzoną w textcie rozmowę Duchów Rzeki i Góry.

8. Str. 22. w. 13. Zmylił najlepsze Percego ogary.

Królowie i bohaterowie Szkocyi, równie jak pograniczni rabusie, musieli nieraz uchodzić przed pogonią psów, wprawionych do tego rodzaju łowów. Robert Bruce, między innymi, wiele razy był przez nie ścigany, i raz swe ocalenie winien był tylko przytomności umysłu, z ja-

ką rzucił się wplaw do rzeki, i za pomocą wiszącej nad wodą gałęzi, wdrapał się potem na drzewo: przez co zatarł swe ślady i uszedł ścigającej pogoni. Utrzymywano, że jedynym sposobem zbicia z tropu takich ogarów, było rozlanie krwi na ich drodze, której zapach miał węż ich osłabiać. Mniemanie to kosztowało życie nie jednemu jęncowi.

9. Str. 26. w. 12. Zkąd głośny w pieśniach zbójca przemożny,
Czyhał przed laty na łup podnożny.

Mała wieżyczka na malowniczym szczycie góry Minto, zowie się dotąd *łożem Barnhilla*, i miała być siedliskiem zbójcy tego imienia, który całą okolicę postrachem napelniał.

10. Str. 28. w. 5. Halidon-Hillu obaczył wzgórze.

Halidon był starożytnym siedliskiem Karrów z Cessfordu. Pole bitwy Lorda Duglasy z Buklejem, zowie się dotąd *Polem Potyczki*. Ob. notę 2.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 31. w. 1. Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny.

Starożytny i piękny klasztor Melrozu, założony był przez Króla Dawida I., który z powodu swej pobożności i hojności w zakładaniu kościołów i klasztorów, uważany był za świętego. Same jego ruiny przedstawiają dziś jeszcze najpiękniejszy wzór architektury i rzeźby gotyckiej.

kiej; kwiaty, liście i całe krzewy, rznięte są z taką delikatnością i dokładnością rysunku, że trudno jest pojąć, aby tak twardy kamień, z jakiego cały gmach był zbudowany, mógł być tak doskonale wyrobiony dłotem. Kościół i klasztor poświęcony był Najświętszej Maryi Pannie; Mnisi zaś należeli do zakonu Cystersów.

2. Str. 36. w. 4. A stopą glazy deptali grobowe.

Rurytarze lub zewnętrzne krużganki w dawnych klasztorach szkockich, służyły często za miejsce pogrzebu dla Mnichów.

3. Str. 38. w. 5. Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu.

Jakub i Wiliam Duglasowie. Pierwszy zwyciężył Anglików i poległ sam w stanowczej bitwie pod Otterburną w r. 1388. Drugi najwaleczniejszy rycerz w Liddesdalu, żył za czasów Króla Dawida II. Pamięć wielce chwalebnych czynów, skaził morderstwem przyjaciela i towarzysza broni, Sir Alexandra Ramsay, z którym ubiegał się o urząd Szeryffa w swoim hrabstwie; albowiem gdy go Król Ramsayowi powierzył, Duglas wiedziony zemstą, napadł nań, gdy w Hawiku sprawiedliwość domierzał, i zawiódłszy do swego zamku, w więzieniu głodem zamorzył. Rząd w Szkocji był naówczas tak słaby, a raczej Duglas tak potężny, że Król, nie mając siły ukarać, mianował go następcą Ramsaya. Wkrótce jednakże potem, Sir Wiliam zamordowany został na łowach, przez krewnego swojego, mszczącego się, jak powiadają, za śmierć Ramsaya, który był jego przyjacielem.

4. Str. 39. w. 12. Był to grób Króla Szkockiego.

W Kościele Melrozu znajduje się dotąd wielki marmurowy kamień, pokrywający, jak mówią, grób Alexandra II. jednego z najdawniejszych Królów Szkocyi.

5. Str. 40. w. 2. Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało,
Napotkać Michała Skotta.

Michał Skott z Balwearie, żył rzeczywiście w wieku XIII. Był to człowiek wielkiej nauki, którą po większej części nabył w obcych krajach. Pisał komentarze do Arystotelesa i wiele traktatów o Fizyce, z których wiadać, że się zajmował dużo astrologią, alchymią, fizyognomistyką i chiromancyą, co zapewne było przyczyną, iż między współziomkami za czarnoksiężnika uchodził. Dante nawet, wspomina o nim w *Roskiej Komedyi*, jako o sławnym czarnoksiężniku. Historycy Szkocyi, a między innymi Lessly, mówią o nim, jako o najuczestszym w Szkocyi, w owym czasie, człowieku. W powieściach i podaniach ludu imię jego nie mniej jest sławne. W południowej Szkocyi, każde dzieło, które wymagało wiele pracy, a którego początek ginie w dalekiej starożytności, przypisywane jest zwykle „*Staremu Michałowi*.” Wallasowi, lub djabłu. Nie wiadomo z pewnością gdzie jest pogrzebiony; jedni twierdzą, że w Holm-Koltramic, w hrabstwie Northumberland, drudzy, że w opactwie Melrozu; lecz wszyscy zgadzają się na to, że czarnoksiężnik jego pisma i więgi pogrzebione są z nim razem, lub zachowane w klasztorze gdzie umarł; ale że nikt ich bez niebezpieczeństwa otworzyć nie może, z powodu zawartych

w nich inwokacji złych duchów. Zabobonność panująca w Hiszpanii, i pozostałe tam szczątki umiejętności arabskich, czyniły ten kraj w opinii gminu ulubioném siedliskiem czarnoksiężników. W Toledo, Sewilli i Salamance, były publiczne szkoły do wykładu Magii, to jest nauk, uważanych za mające związek z jej tajemnicami. W tém ostatniem mieście, nauki te wykładały się w głębokiej jaskini, którą potem Izabella, żona Króla Ferdynanda, zamurować kazała.

6. Str. 40. w. 8. Z wież same dzwony na trwogę dzwoniły,
I wieże drżały w Paryżu.

Z pomiędzy wielu tradycji o Michale Skocie, umieszczamy tu jedną, jako mającą związek ze słowami textu: „Jednego razu poruczono mu poselstwo do Francyi, w celu wyjednania u farnego Króla, zadośćuczynienia za wielokrotne rozboje morskie, przez poddanych jego domierzone na Szkotach. Nowy Poseł zamiast przysposabiać się jak zwykle do podróży, zamknął się w swoim gabinecie, otworzył czarnoksiężką swą księgę, i wywoławszy diabła w postaci czarnego konia, rozkazał mu zanieść siebie do Paryża. Gdy przelatywali nad morzem, chytry djabeł zapytał go: „co szepcą stare baby w Szkocyi, gdy się kładą do łóżka?—Mistrz mnięj doświadczony odpowiedziałby może: *Pater noster* lub *Ave Maria*; co dałoby moc i prawo djabłu, zrzucić go natychmiast do morza; lecz Michał krzyknął nań głosem groźnym: „a tobie co do tego? pełń co ja tobie każę!”—i czart posłuszny niósł go dalej w milczeniu. Przybywszy do Paryża, przywiązał swego konia u bramy pałacu, a sam szedł śmiało do Króla i spr-

wił się ze swego poselstwa. Łatwo jest pojąć, że posel przybywający w takiem *incognito*, i tak nieszanujący form dyplomatycznych, nie mógł znaleźć dobrego przyjęcia; i już Król zabierał się do dania mu odmownej i pogardliwej odpowiedzi, gdy Michał prosił go jeszcze, aby się wstrzymał na chwilę, aż koń jego trzy razy nogą w ziemię uderzy. Za pierwszym uderzeniem zatrzęsły się wszystkie dzwonnice i wszystkie dzwony zadzwoniły same; za drugim, trzy największe wieże w zamku królewskim runęły; i już straszliwy rumak podnosił nogę do góry, aby raz trzeci uderzyć, gdy przestraszony Król, przystał na wszystkie wymagania Michała, byle się prędzej pozbyć takowego gościa. Pomimo wszakże tej mądrości i tej potęgi, Michał Skott, równie jak sławny jego poprzednik Merlin, dał się uwieść podstępom i padł ofiarą zdrady niewieściej. Żona jego, czy też kochanka, wyłudziła od niego tajemnicę, iż sztuka jego zaslania go od wszystkich niebezpieczeństw, prócz jednego, jakiemby dlań było spożycie *lullionu* ciągniętego z mięsa nieplodnej świni, który byłby dla niego najzjadliwszą trucizną. Zdrajczyni przyrzadziła mu wkrótce wymienioną potrawę, poczem mędrzec umarł natychmiast, mając jednakże dość czasu, do skaranią wprzód śmiercią niewiernej swej powierniczki.

7. Str. 40. w. 12. Co szezyl Ejldonu rozszezepał na troje,
I przez Twid rzucił most z głazu.

Jednego razu Michał Skott był w wielkim kłopotcie, z powodu djabła, któremu musiał zawsze dawać coś do czynienia. Kazał mu więc zbudować most kamienny na Twidzie, co djabeł w ciągu jednej nocy uskutečnił. Na-

stępnie zalecił mu, aby podzielił na trzy części górę Ejd-don, jeden tylko naówczas mającą wierzchołek. Djabeł za noc wszystko wykonał. Nakoniec czarnościanek zwyciężył niezmordowanego szatana, rozkazawszy mu wciągnąć linę kotwiczne z piasku morskiego.

8. Str. 43. w. 7. Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
Którój blask duchy odraża.

Jan Posta, i inni autorowie piszący o Magii naturalnej, mówią wiele o wiecznych lampach, znajdujących jakoby w starożytnych grobowcach, a między innymi w grobowcu Tulioli, córki Cicerona. Lampy te miały być dziełem czarów, a knot ich był z amiantu.

9. Str. 47. w. 3. Że martwy zmarszczył się srogo.

Wiljam Delorraine mógłby znaleźć potwierdzenie swego zdania, w gminnych powieściach hiszpańskich, o sławnym Cydzie Rodrygu. Gdy ciało tego wielkiego bohatera leżało na paradnych marach, obok wielkiego ołtarza, w katedralnym kościele w Toledo, gdzie było wystawione przez lat dziesięć; Żyd jeden przez urągawisko chciał je pociągnąć za brodę. Lecz zaledwie dotknął ręką zwisających wąsów, gdy umarły porwał się nagle, i miecz z pochwy do połowy wydobył. Żyd przełęknięty uciekł, i skutkiem zbawicznego przest్రachu, przyjął potem wiarę chrześcijańską.

10. Str. 53. w. 8. Karzel Barona trzymał jego konia.

Pomysł Karła Lorda Kranstona, wzięty jest z podania gminnego o niejakim Gilpinie Horner, który się

był zjawił i przebywał czas jakiś pomiędzy góralami na Pograniczu Szkoekiém. Osoba mieszkająca w pobliżu tamtych okolic, udzieliła mi w tym względzie następujące szczegóły: „Dwóch ludzi późnym wieczorem prowadziło konie na paszę, gdy usłyszeli nagle w zaroślach głos wykrzykujący te tylko słowa: „stracony! stracony! stracony!”—„Co tam u diabła straconego?”—zawołał jeden z wieśniaków — i w tejże chwili ukazała się przed nimi istota, mająca wprawdzie kształt ludzki, ale zadziwiającej małości, i potworna w postawie i rysach. Obaj wieśniacy uciekali jak mogli, tém bardziej, że straszdyło pędziło tuż za nimi; gdy zaś jeden z nich upadł, przeskoczyło przez niego, i prędzej od ich samych stanęło i rozgościło się w ich domu. Jak długo potem w nim przebywało, z pewnością powiedzieć nie mogę, ale jednakże dość długo. Było to stworzenie ze krwi i z ciała, bo jadło, piło, i nadewszystko lubiło mleko, nie żałując go sobie, skoro mogło dostać. Charakter jego zdawał się być złośliwy, albowiem lubiło bić i męczyć dzieci. Oburzony tém dnia jednego gospodarz, tak je mocno uderzył pałką po głowie, iż wszyscy myśleli że zabił. Karzeł upadł, ale wnet powstał na nogi, mówiąc tylko: „No, gospodarzu, ależ bijesz mocno!”—Jednego wieczoru, gdy kobiety zajęte były dojeniem krów, a Karzeł bawił się tamże z dziećmi, usłyszano mocny i przenikliwy głos, wołający trzy razy: „Gilpin Horner!” Karzeł porwał się i zawołał: „To ja! trzeba iść!”—i to wyrzekłszy zniknął, i już go odtąd nie widziano więcej.”—Z innego poważnego źródła wiem jeszcze tę okoliczność, że Karzeł oprócz wyrazu: „*stracony*” który ciągle powtarzał, wspominał też cza-

sem imię jakiegoś Piotra Bertram, i usłyszawszy ów głos wolający, poznał że to był głos jego. Zdaje się więc, że ten Piotr Bertram, musiał to być zły duch jaki lub czarnoksiężnik, który stracił to szatańskie karłę.—Dodać tu jeszcze muszę, że nie znam żadnej gminnej legendy, któraby tak szeroko znaną była w Szkocyi, i którejby tyle, nawet bardzo znakomitych i oświeconych osób wierzyło.

11. Str. 56. w. 10. Obraz z kaplicą spalili.

25 czerwca 1557, Lady Joanna Bethune, wdowa po Lordzie Buccleuch, i wielka liczba Skottów, krewnych jej męża, oskarżonych zostało o czyhanie na życie Lorda Kranstona, znajdującego się na pielgrzymce w kościele *N. Panny Dolin*, i o spalenie tegoż kościoła, gdy ich nadzieja zdobyczy zawiodła.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 65. w. 6. Trafił na rozdział, jak omamieć oko.

Ta czaruoxiężka moc, ukazywania się w cudzej postaci, lub ukazywania innego całkiem pozorów rzeczy, zowie się w dziejach zabobonności Szkockiej, technicznym wyrazem *glamour*. O skutkach jej, oprócz gminnych, mamy nawet historyczne podania. I tak Froissart opowiada, że w r. 1381, gdy Xiążę Anjou oblegał jakiś zamek na brzegach Neapolitańskich, czarnoksiężnik jeden obiecał mu, iż za pomocą swjej sztuki tak potrafi zgęścić w jednym miejscu powietrze, iż oblężonym będzie się zda-

walo widzieć most wzniesiony nad morzem, którém był otoczony zamek, i że tém przestraszeni poddadzą się na łaskę. Xiążę zapytał go, czy rzeczywiście ludzie jego będą mogli wejść po tym moście do zamku?—, Za to nie mogę ręczyć, odpowiedział czarnoxieźnik, albowiem skoroby się z nich który w czasie przechodzenia przeżegnał, most runąłby natychmiast i wszyscy potonęliby w morzu.”— Xiążę zaczął się śmiać, a młodzi rycerze wołali: „Nie przeżegnamy się żaden, rozkaż, Xiążę, niech czyni swe sztuki!”—Lecz w tejże chwili Hrabia Sabaudyi wszedł do namiotu Xięcia, i ujrzawszy czarnoxieźnika rzekł: iż on to właśnie podał ten zamek w ręce Karola de la Paix, terażniejszego jego władzcy, złudziwszy przez czary oczy broniącej go załogi Królowej Neapolitańskiej, której się zdało, że morze wzbiera nad wały. Czarnoxieźnik przyznał się do czynu i dodał: że jest właśnie człowiekiem, którego się Karol de la Paix najwięcej obawia. „—Bardzo wierzę, odpowiedział Hr. Sabaudyi, ale się postaramy o to, by się nie miał czego obawiać. Nie chcę aby kiedyś mówiono, że tacy jak my rycerze, używali zaklęć i czarów dla pokonania swoich nieprzyjaciół” —I obróciwszy się do sług swych, rozkazał ściąć go natychmiast.

2. Str. 66. w. 13. — — — — ale raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej.

Doktor Henryk More, w liście swym, służącym za wstęp do „*Saducismus triumphatus*” Glanvilla, wspomina o podobnym fenomenie. „Pamiętam, mówi on, jednego wiejskiego szlachcica, prawego urzędnika i biegłego matematyka, ale przytém pewnego rodzaju filozofa, niedo-

wiarka i materyalistę. Dysputowaliśmy z nim często o nieśmiertelności duszy, lecz wszystkie moje dowodzenia rozfrącały się o nieprzeczany jego sceptycyzm. Powiadał mi, iż aby się o tém przekonać, potrzebuje koniecznie dotykającego dowodu, i że szukając go właśnie, a nie bojąc się niczego, próbował nieraz wszelkich wiadomych mu czarnościch obrzędów i zaklęć, aby wywołać ducha lub diabła, ale że zawsze napróżno. Razu jednego wszakże, wieczorem, gdy był sam i wcale o tém nie myślał, uczuł się nagle uderzonym po ramieniu tak mocno, że się aż echo uderzenia po pokoju rozległo. Pierwsza myśl jego była, iż to jest tajemniczy znak jakiegoś ducha, który pragnie z nim mówić; wybiegł więc zaraz na dziedziniec domu, a ztamtąd na samotne pole, ale nie nigdzie nie ujrawszy, przekonał siebie nakoniec, iż to był tylko skutek uderzenia krwi lub wyobraźni. A wszakże, pomimo wszelkich usiłowań rozumu, okoliczność ta większe, niż sam chciał przyznać, uczyniła na nim wrażenie. Gdy bowiem razu jednego dysputując z nim jak zwykle, i widząc bezskuteczność wszystkich moich umysłowych dowodów, przypomniałem mu owo uderzenie i rzekłem: „bądź pewny, iż ten, co cię nateraz po ramieniu uderzył, pierwszy cię kiedyś spotka w tamtym świecie;”—postrzegłem że się twarz jego zmieniła nagle i zbladła; zamilkł, i nigdy już więcej w tym przedmiocie nie mówił ze mną aż do śmierci, która nie długo po tém nastąpiła.”

Niech mi się też godzi dodać w tém miejscu opowiadanie, które słyszałem w Dreźnie, z ust jednego z naju-

czeńszych i najgodniejszych ludzi tego kraju, P. Herdera, Dyrektora zakładów górniczych w królestwie Saskiem, a syna sławnego poety i filozofa tegoż imienia. W r. 1836, Xiężniczka Augusta Saska, w towarzystwie P. Herdera i przybocznej swęj Damy Dworu, udała się w gościnę do zamku Fischbach, w Szlązku, własności Xięcia Wilhelma Pruskiego, gdzie tenże wtedy z małżonką swą przebywał. Pierwszego wieczora po przybyciu, P. Herder, który oprócz głębokiej znajomości nauk przyrodzonych, posiadał rzadki talent czytania poezyi, proszony był przez dostojnych gospodarzy, aby im co z dzieł swego ojca przeczytał. Towarzystwo zasiadło około podługnego stołu w sali bibliotecznęj; P. Herder czytał przekład romansów hiszpańskich o Cydzie. Nagle przerwał w pół wiersza, i obracając się prędko po za siebie, zapytał: „Co?”—uczul bowiem, że go ktoś mocno klapnął po ramieniu i szepnął coś do ucha, czego zrozumieć nie mógł. Zdziwił się nie pomału nie widząc obok siebie nikogo; gdy zaś usprawiedliwiając powód przerwy, opowiedział co mu się zdało, gospodarze rzucili na się znaczące spójrzenie; co gdy Xiężniczka Augusta dostrzegła, ulegając jej naleganiom Xiąże Wilhelm, opowiedział odwieczną o tym zamku legendę, podług której, dawny posiadacz jego, jakiś rycerz Niemieckiego Zakonu, błądzi w nim dotąd, pokutując za grzechy; i lubo rzadko bardzo ukazuje się oczom, w postaci mglistej, szarej kolumny, mającęj wszakże kształt ludzki: obecność swą objawia zwykle i często, uderzając po ramieniu mieszkanców, a zwłaszcza nowoprzybyłych. Legenda ta znana jest powszechnie w zamku i okolicy, ale P. Herder

nie o niej przedtém nie slyszal. Dama dworu, towarzy-
sząca takze naówczas Xiężniczce Anguscie, w której wła-
śnie domu i obecności P. Herder to opowiadał, a za pra-
wdę słów której najsumienniejszym mógłbym zaręczyć, do-
dała po wyjściu jego: iż tegoż wieczora, ukląkszy do-
modlitwy, uczuła się uderzoną po ramieniu tak mocno,
iż ból nawet trwał kilka sekund; lecz że przypisując to
zwróconej na ten przedmiot wyobraźni, nie mówiła o
tém przed nikim, i nawet nie zawołała służącej, która
już była odeszła. (*Przyp. Tłómacza.*)

3. Str. 68. w. 7. Bieg żywej wody zniszczył nagle czary.

Jest to artykułem wiary w przesądach gminnych, że
biegąca woda niszczy moc i skutki wszelkich czaro-
dziejstw. Brompton opowiada, że pewni czarno Xiężnicy
Irlandzcy, umieli mocą swęj sztuki zamieniać kamienie
lub kawalki gliny w tuczone wieprze, które przedawali
na targach: lecz że te zamieniały się znowu w kamienie
lub glinę, skoro wiozący je nowi nabywcy, przejechali
przez jakibądź strumyk.

4. Str. 75. w. 8. Delorraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie.

Sir Kenelm Digby, w rozprawie o sympatycznych
sposobach leczenia, czytanej w Montpellier na zgroma-
dzeniu wielu znakomitszej Szlachty i ludzi uczonych, i
ogłoszonej drukiem w r. 1658, opowiada sam o sobie na-
stępujące zdarzenie:

„P. Jakób Howell, znakomity pisarz Szkocki, chcąc
rozbroić dwóch pojedynkujących z sobą dobrych swoich
znajomych, ujął ręką przez nicostrożność klingę pałasza

jednego z nich, który wyrywając go w zapale gniewu, przeciął mu aż do kości wszystkie nerwy i mięśnie dłoni. Widok krwi wspólnego przyjaciela uśmierzył zapęd walczących, którzy obwiązawszy mu na przód ranę podwiązką, przyzwali biegłego chirurga; gdy zaś wieść o tem doszła do dworu, Król, (Jakob VI.), który bardzo szacował P. Howell, przysłał mu jednego ze swoich przybocznych lekarzy. Przypadek chciał, że mieszkałem w bliskości P. Howell, który we cztery czy w pięć dni potem, przyszedł do mnie prosząc, abym ranę jego obejrzał, i ażebym go leczył sympatycznym sposobem, którego używałem zwykle w podobnych razach, o czém właśnie ktoś Panu Howell powiedział. Chirurg i lekarz królewski obawiali się gangreny; jakoż chory cierpiał nadzwyczajne boleści, a zwłaszcza palenie w ranie. Uprzedziłem go że mój sposób leczenia, bez dotknięcia i nawet bez oglądania rany, może mu się zdawać przesadnym; gdy jednak przystał na wszystko, żądałem naprzód aby mi dał jaką płachtę, któraby była zbroczona krwią jego. Pośłał więc do domu po ową podwiązkę, która mu w pierwszej chwili za bandaż służyła. Następnie kazałem podać miednicę wody, jakbym chciał tylko umywać w niej ręce; tymczasem wsypałem do niej potajemnie proszek wiotriolu, który miałem na pogotowiu, i skoro się rozpuścił, zanurzyłem w wodzie podwiązkę, zwracając przytém oczy na P. Howell, który w drugim końcu pokoju, nie patrząc weale na mnie, z kilku obecnymi rozmawiał. Po chwili postrzegłem że się wstrząsł nagle, jak gdyby jaką dziwną poczuł w sobie odmianę. Zapytałem go więc o przyczynę tego poruszenia. „Nie wiem co

się to stało, odpowiedział, ale nie czuję żadnej boleści; zdaje mi się owszem, iż jakiś chłód przyjemny rozlewa się po ranie, jakby ją mokną obłożono płachtą; i wszelkie palenie ustało.”— „Ponieważ leki moje tak dobrze uczynają skutkować, rzekłem, wracaj Pan teraz do domu, odrzuć precz wszystkie bandaże, i dobrze oczyściwszy ranę, nie wystawiaj jęj na zbytne zimno ani gorąco. Wieść o tém co się stało, doniosła się natychmiast do Xięcia Buckingham i od niego do Króla. Obadwaj chcieli widzieć szczegóły mego działania. Dla usunięcia więc wszelkiej wątpliwości, tegoż dnia po południu, wydobyłem z wody podwiązkę, i rozwiesiłem ją przed wielkim ogniem. Ale zaledwo zaczęła nieco wysychać, gdy wpadł służący P. Howell, wołając, iż Pan jego cierpi znowu straszne boleści, a mianowicie palenie, jakby rękę trzymał nad żarem. Rozkazałem mu powiedzieć swemu Panu, ażeby był spokojny, gdyż to wkrótce ustanie. Jakoż włożyłem znowu podwiązkę do wody, i nim służący wrócił do P. Howell, ten już nie czuł żadnego bólu, i po dniach kilku całkiem uzdrowiony został.”— Sir Kenelm Digby, na żądanie Króla, odkrył mu swą tajemnicę; sam zaś nauczył się jęj od pewnego Karmelitańskiego braciszka, który ją przywiózł z Persyi czy z Armenii, gdzie przez lat kilka przebywał.

5. Str. 78. w. 5. Na Penchrist-Penie sygnał się pali,
Trzy na Priesthawie—

Różna liczba i względne położenie tych ogniów, tworzących linię telegraficzną między granicą a Edyngurghem, miały swoje pewne znaczenie. I tak, akt Parla-

mentu z r. 1455 stanowi: aby zapalano jeden sygnał, gdy się Anglicy do granicy zbliżają; dwa, gdy już przejdą granicę; cztery, jeden przy drugim, gdy są w wielkiej liczbie. Cały kraj na to hasło powinien był stawać do broni; i dosyć było kilku godzin czasu, do zebrania kilkotysięcznego oddziału jazdy.

6. Str. 80. w. 5. Na piramidach grobowych kurhanów.

Na szczytach wielu gór Szkockich dotąd widzieć się daje pewny gatunek piramid, ułożonych z kamieni, i będących, jak się zdaje, pomnikami dawnych grobowców.

7. Str. 80. w. 13. Aż zawołały echa Lothianów.

Trzy hrabstwa w Szkocyi noszą to imię: Lothian średni czyli Edyburg, Lothian wschodni czyli Linlithgow, i Lothian zachodni czyli Haddingtown.

8. Str. 81. w. 16. Po czarny haracz.

Tak nazywano opłatę składaną pogranicznym rabusiom, aby się od ich łupieży i okrucieństwa zasłonić.

PIEŚŃ CZWARTA.

1. Str. 84. w. 16. A na ich czele walczył Dundee śmiały.

Margrabia Dundee (z rodziny Grahamów), wódz powstania w sprawie wygnanych Sztuartów, poległ w bitwie pod Killierankie.—(Jest to ten sam, który pod imie-

niem Claverhousa, gra jedną z głównych ról w roman-
sie Waltera Skotta, p. t. *Purytanie Szkoccy*).

2. Str. 85. w. 4. Po grząskich bagnach, po zamierzchłych
borach,
Lud rzucał domy i krył się od wroga.

Za zbliżeniem się Anglików, pograniczni mieszkańcy
Szkoccy, uciekali zwykle do lasów lub na niedostępne
bagniska; często też kryli się w podziemnych lochach i
jaskiniach, u wejścia których Anglicy zapalali niekiedy
wielkie stopy liści suchych i słomy, i tym sposobem u-
krytych wewnątrz albo dusili dymem, jak lisów, albo
przymuszali do wyjścia.

3. Str. 85. w. 15. Watt Tinnlin z Liddel.

W dzieciństwie mojem slyszalem wiele powieści o
tym człowieku, odznaczającym się męztwem, dowcipem,
i trafnym strzelaniem z łuku. Był on z professyi szew-
cem, i sługą rodziny Buklejów; ale wolał włóczyć niż
szydło. Razu jednego, angielski Kapitan okręgu, w hrab-
stwie Kumberlandzkim, wpadł do Szkocyi i znaczne po-
czynił grabieże. Uwiadomiony o tém Watt Tinnlin,
dognał go, odebrał łupy, i sam uciekającego Kapitana
ścigał przez bagna, pełne niebezpiecznych trzęsawic. An-
glik jednak wydobyl się z nich na brzeg twardy, i wi-
dząc grążącego w nich jeszcze Tinnlina, który zmu-
szony zsiąść z konia za cugle go w ręku prowadził; za-
wołał nań z urąganiem: „Szewcze! patrz, czy dobrze
przyszyłeś podeszwy; bo ci woda najdzie do bótów!”
Za odpowiedź Tinnlin wypuścił strzałę, która tra-

flwszy w nogę Kapitana, przeszła ją na wskrós i przybiła do siodła. „Widzisz, zawolał natenczas, że umiem ćwiekować skórę, choć podeszew dobrze nie szyję.”

4. Str. 86. w. 13. Dumna ze srebrnych błyskotek co miała.

Mieszkańcy Pogranicza mało przywiązywali wartości i upodobania do sprzętów domowych, które w każdej chwili zabrane lub spalone być mogły. Głównym przedmiotem ich zbytku były różne błyskotki i stroje, którymi lubili zdobić swe żony.

5. Str. 87. w. 4. Wiliam Howard i Lord Dacre potężny.

Wiliam Lord Howard, trzeci syn Xięcia Tomasza Norfolk, dziedzic zamku Nawortu i wielkiej Baronii tegoż imienia w hrabstwie Kumberland, żył rzeczywiście w początkach panowania Królowej Elżbiety. Surowość, z jaką poskramiał pogranicznych rabusiów, będąc sam Lordem Nadgranicznym ze strony Anglii, uczyniła go sławnym w tradycjach gminnych.— Znane powszechnie imię Dacre, winno jest swój początek męztwu jednego z téj rodziny, który podczas krucjaty Ryszarda Lwie Serce, odznaczył się przy oblężeniu Akry czyli Ptolomaidy. Jedna z gałęzi téj rodziny posiadała nadgraniczną Baronią Gilsland, a naczelnicy jój mieli tytuł: „Strażników zachodniej granicy.”

6. Str. 87. w. 6. Prowadząc z sobą Niemców hufzaciężny.

W wojnach ze Szkocją, Henryk VIII i jego następcy, używali powszechnie i w znacznej liczbie wojsk na-

jemniczych, z cudzoziemców, a zwłaszcza z Niemców złozonych. — Na obrazach bitew dawniej szkoły Flamandzkiej widzieć można, iż Niemiec i Niderlandzcy żołnierze, idąc do szturm, prawe kolano mieli zawsze nagie, by się łatwiej wdzierać na mury.

7. Str. 89. w. 5. — — — — Jan z Tirlestanu.

Sir Jan Skott z Tirlestanu żył za panowania Jakóba V., i gdy Król zgromadziwszy przedniejszych Baronów Szkockich i ich wassalów, oświadczył chęć wtargnienia do Anglii, czemu wszyscy byli przeciwni: on jeden tylko okazał się gotowym pójść za rozkazem Królewskim; i tej to właśnie wierności winien był wspomniane w texcie nagrody.

8. Str. 90. w. 21. Gdzież tak potężny jak Lord z Hardenu?

Sir Walter Skott z Hardenu, żyjący za panowania Królowej Maryi, był jednym z najslawniejszych dowódców pogranicznych rabusiów Szkockich, a pieśni i podania gminne zachowały mnóstwo szczegółów jego życia. Obronny jego zamek, położony był nad samym brzegiem mrocznego i przepaścistego wąwozu, w którego najskrytszych zakątkach, pasły się trzody i przechowywały się wszelkiego rodzaju łupy na nieprzyjaciółach zdobyte. Gdy zaś bydła i żywności zabrakło, para ostróg, podana do stołu na zakrytym półmisku, była znakiem dla goszczących w zamku wassalów, że trzeba było siać na koń i nowych szukać zdobyęzy. Sir Walter żonaty był z krewną swoją Maryą Skott, której dobroć i wdzię

ki, łagodząc nieraz surowy męża charakter, zjednały jęj w pieśniach imię „Róży Yarrowu.”

9. Str. 91. w. 8. Szli mając hasłem „błóń Belle n d e u.”

Posiadłość tego imienia, położona u źródła Bortwiku, była środkowym punktem ogólnych posiadłości klanu Skottów, i ztąd służyła im często za miejsce i za hasło zebrania.

10. Str. 96. w. 11. Na znak pierwszego co lepiej zapłaci,
Gotowa przelać krew wrogów lub braci.

Najemni awanturnicy, których Hrabia Cambridge prowadził w pomoc Królowi Portugalskiemu przeciw Hiszpanom w r. 1380, podnieśli bunt z powodu nieregularnej wypłaty żołdu. Na jednem zgromadzeniu ich wodzów, Sir Jan Soltier, syn naturalny Edwarda, zwanego Xięciem Czarnym, w te słowa przemówił do nich: „Rada moja jest: dobrze się naprzód porozumieć nawzajem; podnieść sztandar św. Jerzego, i ogłosić się przyjaciółmi Boga, a nieprzyjaciółmi całego świata; bo gdy się nas nie będą obawiać, skończy się na tém, że nie będziemy nic mieli.”— Rada ta podobala się powszechnie, i sam dawca jęj wodzem okrzykniony został.

11. Str. 99. w. 8. Niósł rękawicę zwieszoną na spisie.

Rękawica na ostrzu włóczni było godłem dobrej wiary u dawnych mieszkańców Pogranicza, i gdy kto z nich nie dotrzymał słowa, podnoszono ten znak na najpięwszém zgromadzeniu ogólném, i ogłaszano go „człowie-

kiem bez czci i wiary." Obrzęd ten był straszny dla wszystkich.

12. Str. 103. w. 4. Że się Delorraine cel ich nienawisci
Albo przysięgą z zarzutów oczyści, i t. d.

Wrazach wątpliwych, zwyczaję pograniczne dozwalały oskarżonym usprawiedliwiać się przysięgą, albo z o-rężem w rękę niewinności swojej dowodzić.

13. Str. 103. w. 10. Gdy krew angielska wzbierała w Ankramic.

Sławna w dziejach Szkocko-Angielskich bitwa pod Ankram-Moor, zaszła w r. 1545. Anglicy, dowodzeni przez Sir Ralfa Evers i Sir Briana Latoun, zostali zupełnie pobici, i obaj ich wodzowie polegli. Wodzami Szkotów byli: Archibald Douglas, Lord Buccleuch i Lesly.

14. Str. 109. w. 14. Lecz mistrz mój w pieśniach, etc.

Mowa tu jest o jednym z najslawniejszych pogranicznych Minstrelu, nazwiskiem Willie, który zabiwszy w pojedynku swojego współtowarzysza, został skazany na śmierć i ścięty w Dżedwudzie (Jedwood). Śmierć jego jest przedmiotem wielu pieśni i ballad gminnych.

15. Str. 109. w. 17. On co tak prawa rycerskie Duglasów.

W r. 1468 Wiliam, Hrabia Duglas, zwoławszy na ogólne zgromadzenie Lordów, właścicieli i starszych wiekiem mieszkańców Pogranicza, obowiązał ich pod przysięgą, zebrać i ułożyć porządkiem na piśmie, wszystkie ustawy, przepisy i urządzenia wojenne, wydane niegdyś przez dwóch przodków swoich Duglasów; poczem sam wraz ze wszystkimi, ściśle ich zachowanie poprzysiągl.

PIEŚŃ PIĄTA.

1. Str. 116. w. 2. *Jaśniało Krwawe Serce* Duglasów.

Sławny w dziejach Szkocyi Król Robert Bruce, polecił umierając jednemu z Duglasów, aby wyjęte zeń serce zaniósł do Ziemi Świętej, dokąd zawsze za życia tęskniło. I odtąd to „krwawe serce” stało się herbem tego domu.

2. Str. 116. w. 3. *Siedem Lanc* z Wedderburny.

Tak zwano siedmiu synów Sir Dawida Home z Wedderburny, który zginął pod Flodden.

3. Str. 116. w. 6. *Swinton*, pogrom Plantagenetów.

Familia Swintonów jest jedną z najdawniejszych w Szkocyi. W bitwie pod Baugé, we Francyi, Xiążę Klarencyi, brat Henryka V. z domu Plantagenetów, został pokonany i zrzucony z konia przez Sir Jana Swinton.

4. Str. 116. w. 10. *Wiódł młody Hepburn i Home* z Dunbaru.

Familia Home (czyt. *Hom*), pochodząca od hrabiów z Dunbaru, była zawsze w ścisłych stosunkach z domem Hepburnów, których ostatnim szczeblem był zbyt głośny w dziejach Szkoekich Bottwell, mąż królowej Maryi Sztuart.

5. Str. 118. w. 16. *Młodzież gra w piłkę* z pałantem.

Gra w piłkę była niegdyś ulubioną w Szkocyi, a zwłaszcza na Pogranieczu, i nieraz stawała się powodem za wziętych kłótni i nawet krwi rozlewu.

6. Str. 119. w. 12. Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów
Ze nie był dziwny nikomu.

Pomimo ciągłych prawie wojen i często popełnianych okrucieństw, mieszkańcy Pogranicza, naksztalt przednich straży dwóch wojsk nieprzyjacielskich, skorzy byli do wzajemnych stosunków i zabaw, tak dalece, że z różnych postanowień rządu w obu krajach, zabraniających handlu i związków małżeńskich między Angielskimi i Szkockimi mieszkańcami granic, wnosić można, iż się lękano nawet, ażeby te stosunki zanadto się ścisłymi nie stały.

7. Str. 138. w. 9. Myśleli bowiem że szatan się zjawił,
W żywego człeka osobie.

Jednym z najdziwaczniejszych przesądów między ludem Szkockim, było mniemanie, że się widziadło żyjącego człowieka ukazywać może niekiedy; co przypisywano sprawie szatana, i uważano za bardzo złą wróżbę.

8. Str. 139. w. 18. Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami.

Złupiony przez pogranicznych rabusiów, puszczał się zwykle w pogoń z przyjaciółmi swemi i psami, których osobnym sposobem do tego rodzaju łowów wprawiano; i jeśli psy szły ciągle po tropie, miał nawet prawo przekroczyć za nimi granicę; przywilej, który był nie raz krwi rozlania powodem.

9. Str. 141. w. 16. Woli kraj w którym fanatyzm dziki
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki.

Po zaprowadzeniu w Szkocyi reformy Kalwina, gorliwi jej zwolennicy, a mianowicie Purytanie, prześlado-

wali zapalczywie wszystkie sztuki piękne, a zwłaszcza muzykę, jako najbardziej działającą na zmysły.

PIEŚŃ SZÓSTA.

1. Str. 147. w. 16. Bo nie przez zgubną moc Magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej.

Opinia gminna, jakkolwiek przeciwna nauce kościoła, czyniła wielką różnicę między czarnoksiężnikami czyli Magami, a Nekromantami czyli czarownikami, i przechylała się stanowczo na stronę pierwszych. Rozumiano bowiem, że mają moc rozkazywać złym duchom, kiedy przeciwnie drudzy, słuchać ich tylko lub bydź z nimi w związku musieli.

2. Str. 148. w. 8. Na pięści sokół w szkarłatnym kapturku,
Siedział trzymany na jedwabnym sznurku.

Damy wysokiego rodu, jako też Baronowie i Rycerze podczas pokoju, przy wszelkich uroczystych obrzędach mieli zwykle na pięści sokola.

3. Str. 148. w. 19. I w samym środku wznoszącym się pa-
wkiem,
Z złożonym dziobem i odzianym w pióra.

Paw, w wiekach rycerstwa, uważany był nie tylko jako najdelikatniejsza, lecz jako szczególnie obrzędowa potrawa, bez której żadna większa uroczystość obejść się nie mogła. Po upieczeniu odziewano go na nowo piórami, i do pozłożonego dziobu kładziono gąbkę napojoną palącym się wyskokiem winnym. W chwili gdy go

podawano na stół, awanturniczy rycerze, zwykli byli czynić publiczne śluby dopełnienia jakiego czynu rycerstwa, „w obliczu Pawia i Dam.”

4. Str. 148. w. 20. I nad łabędziem z Maryi jeziora.

Na jeziorze Św. Maryi, blisko źródła rzeki Yarrowu, dają się widzieć dotąd stada dzikich łabędzi.

5. Str. 149. w. 2. Nad głową dzika z Kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów.

Głowa dzika należała także do rzędu obrzędowych potraw w wiekach średnich. W Szkocji otaczano ją mnóstwem chorągiewek, mających barwy, herby lub godła gospodarza domu.

6. Str. 150. w. 20. Zgryzł rękawicę i potrząsnął głową.

Przygryźć palec swój lub rękawicę, znaczyło na Pograniczu, nie tylko pogardę, lecz i ślub nieubłaganej zemsty.

7. Str. 153. w. 12. Brał równie Szkockie jak Angielskie woly.

Jan Groem lub Graham, drugi syn hrabiego Montheit, zwany powszechnie „rycerzem błyszczącego miecza,” wpadłszy w nielaskę u Szkockiego dworu, usunął się z wielką częścią krewnych swych i wassalów na Pogranicze Anglii, i zajął kraj tak zwany „spornym,” to jest, do którego oba kraje prawo własności rościły. Następcy przeto jego, nie ulegając żadnemu z nich, stali się najstraszniejszymi rabusiami granic, i tak Anglią jak Szkocją bez różnicy łupili. Kraj sporny podzielono nakoniec na dwie ró-

wne części, sądem polubownym.— Piosnka Alberta Groem, (czyt. *Grem*) w teście, jest naśladowaniem gminnej.

8. Str. 156. w. 1. I Surrey — Surrey, niestety!

Waleczny i nieszczęśliwy Henryk Howard, hrabia Surrey, był niezaprzeczenie najdoskonalszym rycerzem swojego czasu. W sonetach jego znajdują się piękności godne złotych wieków poezji. Zalety i sława jego wzbudziły podejrzenie i zawiść Henryka VIII. z domu Tudor, który go w r. 1546 ściąć kazał.— Mówią, że podczas jego podróży, sławny Alchymik, Kornelius Agrippa; pokazał mu w czarnoksiężkiem zwierciadle, pozostałą w kraju kochankę jego Geraldinę, na której cześć swój oręż i łutnię poświęcił.

9. Str. 161. w. 5. Gdzie ród Saint-Clairów, etc.

Rodzina Saint-Clair (*Sę-Kler*) jest pochodzenia Normandzkiego; osiadłszy w Szkocji za panowania Malkolma, została znacznie wzbogaconą nadaniami królów, a mianowicie Roberta Bruce. W rzędzie pierwszych jej posiadłości była Baronía Roslin, z zamkiem tegoż imienia; następnie zaś przez związek małżeński z córką hrabiego Orkney, (inaczej hr. *Orkad*), doszła do posiadania tychże wysp i tytułu, nadanego jej przez Hakona Króla Norwegii w r. 1379. Tytuł ten, po ustąpieniu Norwegów potwierdzili Saint-Clairom Królowie Szkoccy, ale samo hrabstwo zostało przyłączone do korony w r. 1471.— Imie Rozabella, było prawie dziedzicznym imieniem niewiast w tej rodzinie.

10. Str. 162. w. 5. i dal. Tu na skrzydłatych Oceanu Smokach,
Królowie Morza, etc.

Dowódcy Skandynawskich rozbojników morskich, nawiedzający często brzegi Szkocyi, równie jak całą naówczas Europę, przybierali szumny tytuł Królów Morza, (*Soekoungur*), okręty zaś ich, w nadętym stylu Skaldów, (kapłanów i bardów Skandynawskich) zwane były „Smokami Oceanu.”— *Odin*, było imię najwyższego Boga w mitologii Skandynawskiej.— *Runy*: tajemnicze znaki albo litery (rodzaj heroglifów), używane w napisach i religijnych obrzędach Skandynawskich.— *Saga*, od imienia tak zwanej Skandynawskiej Bogini historyi, zwała się każda tradycja historyczna w tych krajach.

11. Str. 165. w. 14. I w grobach rycerzy, blask bił od pan-
cerzy,
Leżących we zbrojach, bez trumny.

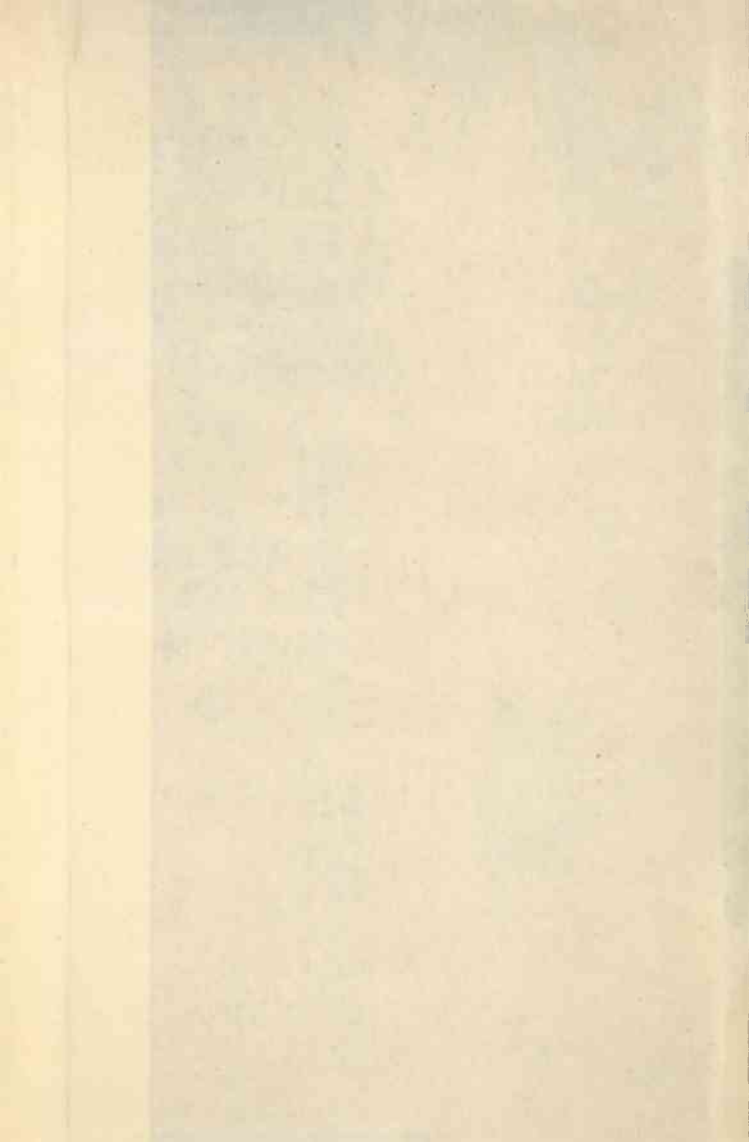
Piękna kaplica w Roslinie, gdzie były groby familijne Saint-Clairów, założona w r. 1446, do dziś dnia jeszcze się utrzymuje. Dawniejsi Baronowie grzebani byli bez trumien, lecz ich odzianych we zbroje, kładziono wprost na kamienną podłozę w grobach pod kaplicą będących. Tradycja gminna zapewnia, że ile razy kto z tej rodziny miał umrzeć, cała ta kaplica i zamek jaśniały jakimś tajemniczym blaskiem i zdawały się być jak w ogniu.

KONIEC TOMU IV.

OMYŁKI DRUKU.

- w Tomie I. na str. 159. w w. 5. zamiast: „na nieposłuszeństwo *czytaj* za nieposłuszeństwo.
w Tomie III. str. 121. w. 1. zamiast „wiedziesz czy nie, *czytaj* wiedziesz nynie.
w Tomie IV. str. 86. w. 10. zamiast z dwojgą małych dzieci, *czytaj* z dwojgiem małych dzieci.
-

60 str



MARIU CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 28279

4

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000174147